

arty inf. oła Pomoran opr.
IV 2004
S.



Sterkowicz Jerzy Szczęsny
ul. Kwadrat
53-425 Wrocław

Jonin
Kraków

PW - IX '39 ZKZ-AK

Sterkowicz Jerzy Szczęsny
ps. "Sęp", "Stanisław Warminski"
H:1242/2067 Pom.

**SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI**

Sterkowice Jerzy Szczęsny
T. M: 1242/2067 Pom.
Toruń - Kraków LWZ-AK

I./1. Relacja k. 44 s. 1-81

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora k. 5 s. 1-5

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora

II. Materiały uzupełniające relację k. 9 s. 1-9

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945

III./5. Inne ...

IV. Korespondencja

1) Fundacja - Sterkowice Jerzy Szczęsny

i Banaś Antoni k. 7 s. 1-8

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne k. 1

VI Fotografie - brak

I/1. Relacja - Sterkowice Jerzy Szczepny

1. Początek II wojny światowej we wspomnieniach
- relacja Jerzego Sterkowice, msp.

k.44 s.1-81



I/1/1

Początek II wojny światowej

we wspomnieniach

mgr inż. Jerzego Sterkowicza

jesień - zima 1939 r.



Sois treści

Mój wrzesień

- w marszu ku Warszawie
- w stolicy
- w niewoli

Losy innych kompanii PW - Toruń

Przekroczenie granicy linii demarkacyjnej
w grudniu 1939 r.



Wzrost i zdrowie

...
...
...
...

Mój wrzesień



...
...
...

W marszu ku Warszawie.

Marsz śpiewajmy marsz
Niecz wszyscy razem z nami śpieszą
Gdy wróg lży z nas my wszyscy wrz
Staniemy razem niby las.

Batalion Toruńskich Junaków PW formował się w opuszczonych koszarach 63 pułku piechoty w tzw. koszarach marsz. J. Piłsudskiego. Pomnik marszałka w otoczeniu 2-ch dział stał przed koszarami nieomal przy wejściu do nich. Stąd brała się potoczna nazwa tych budynków.

Założenia batalionu zakładały utworzenie 5 kompanii, w tym 3-ch strzeleckich, jedną ciężkich karabinów maszynowych i jedną broni towarzyszących. Dowódca batalionu kpt. rez. Jan Drzewiecki nie miał pełnego składu kadry oficerskiej i podoficerskiej. Łatał ją napływającą rezerwą. Dowódcami kompanii zostawali chorążowie. Dwie ostatnie kompanie nie miały pełnego składu osobowego, a wyposażone były jak wszystkie pozostałe w karabiny "Berthiery" z długimi sięgającymi po kolana bagnietami. Nosiły więc te kompanie nazwy trochę na wyrost. Chłopaków grupowano trochę według przynależności szkolnej. Ja się dostałem do 1 kompanii 1 plutonu z uwagą na odbyte pełne przeszkolenie przysposobienia wojskowego.

Wojna wybuchła rano o 4²⁵. Batalion mundurował się i zbroił w Arsenale toruńskim, a następnie organizował się: w kompanie, plutony i drużyny.

I/1/15

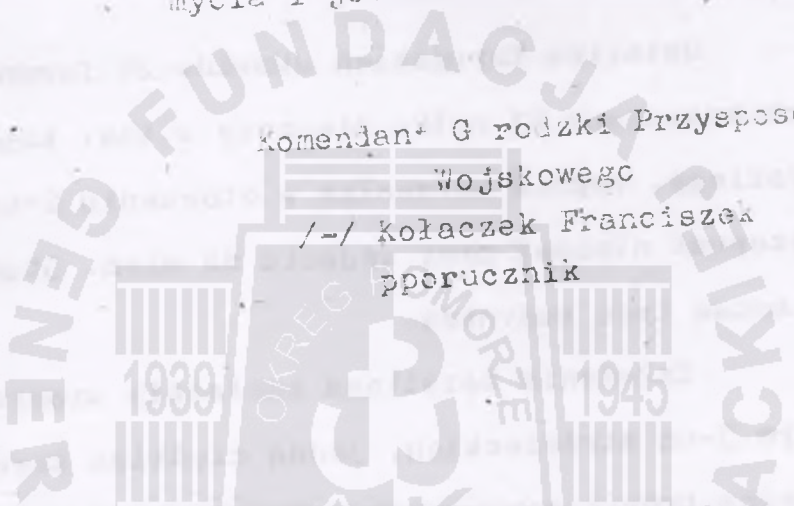
Komenda Grodzka
Przysposobienia Wojskowego
w Toruniu
Toruń, dnia 31. VIII. 1939r.

W e z w a n i e
Jana Drzewieckiego

Na podstawie rozkazu D. O. K. VIII polecam s'awić się
w Hali P. W. ul. Wały dnia 1 września 1939r. o godzinie 5-ej
Zabrać ze sobą 1 parę bielizny, przybory do
mycia i jedzenia. S'awiennie'wo obowiązkowe.

Komendant G rodzki Przysposobienia
Wojskowego
/-/ Kołaczek Franciszek
ppperucznik

Do Bona
kpt. Drzewiecki
463 pp.



Dojdzie do spotkania pokoleń?

Młodzież chce gościć junaków z PW

Przede wszystkim informację pt. „Mieili go 11 lat...” o byłych junakach batalionu Przysposobienia Wojskowego dowodzonego przez kpt. Jana Drzewieckiego, którzy w grudniu ubr. po raz pierwszy od Września 1939 r. spotkali się na zjeździe w Toruniu, nie przypuszczalam, że nastąpi ciąg dalszy. Otóż przed kilkoma dniami redakcję odwiedził przedstawiciel Szkoły Podstawowej nr 3 w Toruniu uszającej imię kpt. Jana Drzewieckiego. W dniu rjazdu byłych junaków, doszło do przypadkowego, lecz krótkiego spotkania kombatantów z młodzieżą tej szkoły. Uczniowie oraz dyrektorka chcieliby nawiązać trwałe i systematyczne kontakty. Wizyta w redakcji miała więc na celu pozyskania adresów przynajmniej kilku byłych junaków, umożliwienie nawiązania kontaktu z panem J. Sterkowiczem z Wrocławia piszącym monografię batalionu PW. Szkoła liczy, że może uda się jej zdobyć do trasy pamięci oenne pamiątki i materiały dotyczące osoby patrona — kpt. J. Drzewieckiego. Cenną jest jednak inna propozycja dyrektorki i młodzieży z wspomnianej placówki oświatowej. Otóż chcą oni zaprosować junaków, by ich przyszłoroczny rjazd odbył się w szkole im. kpt. Drzewieckiego. Spotkanie to mogłoby zostać połączone z uroczystościami rocznicy tej placówki. Jesteśmy przekonani, że junacy z PW

te propozycję przesłania z radości. Może w przyszłości spotkanie z dawnymi żołnierzami Września 1939 stać się tradycją w szkole, której ostrożnym jest dowódca batalionu PW. (61)

Powracający samolot NPLA z nalatu w południe w pierwszym dniu wojny przeleciał lotem koszącym nad podwórzem koszarowymi i ciągłym ogniem z karabinu maszynowego porozpędzał chłopaków do budynków koszar. Co prawda strat w ludziach żadnych nie było, ale był to moment zaskoczenia i próbka niespodzianek tej wojny.

Drugiego września - w sobotę - pełniłem funkcję służbowego kompanii i siedziałem na masce na korytarzu, kiedy wpadł ojciec i wyrobił mi przepustkę u dowódcy batalionu na 24 godz. w związku z jego wyjazdem wraz z oddziałem do Warszawy. Ten wieczór spędziliśmy razem na spacerze w parku nad Wisłą i na moście drogowym poprzez rzekę. Wtedy snuł swe opowiadanie wojenne, bo to już jego trzecia wojna. Był pewny zwycięstwa, chociaż komunikaty radiowe podawały informacje o licznych atakach lotniczych i ciężkich walkach przygranicznych, nie wszystkich korzystnych dla nas. Jednak zwycięstwo opierał na sojuszu z Francją a przede wszystkim z Anglią. Noc spędziliśmy u Vogla w mieszkaniu na Nowym Rynku. A od rana ojciec batalion pakował się do wagonów towarowych na stacji Toruń - Mokre. I tam w samo południe dopadł nas nalot lotniczy. Leżeliśmy w pewnej odległości od stacji na torach. Tymczasem bombardowano dworzec. Po nalocie widziałem rozbity narożnik budynku stacyjnego i kilka trupów przykrytych prześcieradłami na peronie. Nalot przesunął trochę odjazd ojca, który namawiał mnie bym jechał z jego batalionem. Ale wówczas byłbym uznany za dezertera. w swoim oddziale.

Gdzieś około 16⁰⁰ wróciłem do koszar. Po drodze z tramwaju widziałem jak ludność w złości po nalocie złapanego szpiega z lusterkiem chciała zlinczować. Na szczęście przechodzący patrol żandarmerii wojskowej zabrał ze sobą złapanego delikwenta.

W koszarach nie zastałem swojej kompanii. Okazało się, że dwa pierwsze plutony z pierwszej i drugiej kompanii wraz z kpt Drzewieckim wymaszerowały jako konwój odtransportujący internowanych Niemców. Była to już większa akcja, w której wzięła udział grupa junaków i sam dowódca batalionu. Los tak chciałem abym w nim nie był udziału, a oddział ten ma swoją historię i to mocno brzemiebną i tragiczną.

Późnym wieczorem w pozostałej części batalionu w trybie alarmowym zwołano zbiórkę kompaniami. Nasze zdekompletowane plutony pierwszej kompanii i chyba drugiej dołączono do kompanii CKM-u. W blasku dalekich łun pożarów i dudnienia artylerii wyszliśmy z koszar. Schodziliśmy ulicą Wołą Zamkową do Wisły, a następnie wzdłuż rzeki przeszliśmy mostem na zachodnią część Torunia, gdzie na ~~wyż~~ Stawkach zajęliśmy XIV fort im. gen. J. Bema. Fort ten stanowił osłonę dla fortu Książewicza, w którym ulokował się sztab armii "Pomorze".

Czwartego września zagospodarowaliśmy się na dobre w forcie, który otoczony dookoła wodą fosy robił wrażenie większego barbakanu do połowy schowanego w ziemi.

Pierwszy raz byłem na czynnym wojskowym forcie i bądź co bądź nie w charakterze turysty.

Nasz fort miał charakter fortu pośredniego, a więc był mniejszy od fortu głównego. Zbudowano go na planie trapezu i otoczono fosą z wodą bronioną z kaponier. W forcie tym znajdował się jeden ciąg pomieszczeń koszarowych oraz na wale stanowiska dla piechoty i artylerii. Naszą kompanię ulokowano w koszarach nasad fortu blisko głównego wejścia, jako jego ochrona. Siłą rzeczy z takiego naszego usytuowania pełniliśmy w nim służbę wartowniczą.

Dowództwo nad naszym batalionem po odejściu kpt. Drzewieckiego przejął jego zastępca porucznik Mańkowski. Tutaj na fort powracały też nasze małe oddziały, które wcześniej konwojowały internowanych Niemców do Aleksandra Kujawskiego względnie Nieszawy.

Chłopcy wyskakiwali w ciągu dnia do swych rodzin w Toruniu, znosząc wiadomości na ogół uzyskane z radia.

Piątego września zaczęły pojawiać się na przedpolu fortu sporadycznie rozbitkowie oddziałów wojskowych z Borów Tucholskich. W międzyczasie do wartowni zgłosił się jakiś żołnierz, który twierdził, że na szosie obok fortu, prowadzącej do Włocławka stoi szpieg i daje sygnały lusterkiem. Była to prowokacja polegająca na wywabieniu nas z fortu. Epizod zakończył się kilkoma strzałami. Podobnie postrzelono właśnie domniemanego żołnierza, gdyż to on miał być dywersantem z V kolumny niemieckiej.

Przykro było patrzeć na napływające sporadycznie małe grupy żołnierzy z rozbitego frontu, których formowano na drodze włocławskiej i wcielano do OW Toruń.

W forcie tymczasem wśród chłopaków dość wesoło biegł czas wśród śpiewu naszego hymnu batalionowego:

" Tam w Toruniu w kamienicy,
Tam w Toruniu w kamienicy,
Piją piwko ochotnicy.

Pili, pili, nie płęcili,
Pili, pili, nie płęcili,
Ładne dziewczę białęcili."

Piosenka ta , bardzo skoczna , bardzo nam odpowiadała.. Nie było w niej nic o wojnie, a o Toruniu i beztróscie młodych, mimo że dookoła toczył się krwawy bój o Korytarz Pomorski na lewym i prawym przedpolu Wisły. " wyniku pogromu naszych wojsk na tych terenach, nastąpiło wycofywanie się nagle wojsk armii w kierunku na Warszawę.

Szóstego września gdzieś około 3-ciej rano wymarszerowaliśmy i my z naszych pieleszy. Był to początek około 60 km marszu w rejon Lasów Kowala. Pożegnaliśmy się wtedy z Toruniem.

Pierwszy postój nastąpił w lasach otłoczyńskich, znalazło się nawet w konwiach mleko z okolicznej wsi i świeży chleb. Dalszy marsz był na ogół pogodny. Kompanie wyciągnięte w dwójkach rozciągały się na wieleset metrów. Wiara śpiewała "Marsz...", "Rydzę Śmigłego", "Morze nasze morze...", "Tam w Toruniu..." i wiele , wiele pieśni poznanych na obozach junackich i harcerskich.

Jest słonecznie, ani chmurki na niebie, ciepło.

Ale w miarę upływu czasu zaczyna nam ciążyć uzbrojenie oraz w chlebakach amunicja, a przede wszystkim długi bagnet uwieszony u pasa, przesuwający się do tyłu, kłujący przy każdym kroku.

Na krótkim postoju w lesie dołączają do nas plutony, które konwojują internowanych Niemców, aby zdać ich w Aleksandrowie Kuj., czy we Włocławku. Jako konwojenci wyszli z Torunia 2 września. Pobiegnę zobaczyć, czy to nie są czasem koledzy z mojej pierwszej kompanii. Ale nie, byli z drugiej albo trzeciej kompanii. Mieli sztywne rogatywki z jasnym zielonym otokiem, takie nakrycie głowy miał cały nasz batalion. Na odkrytych przedramionach mieli po kilka zegarków, podobno zdobyczne. Byłem tym jednak zgorzony.

Na innych postojach, zwykle w lesie, ja kładłem się z nogami do góry, a wiaruchna w tym czasie strzelała Panu Bogu w okna, chociaż sierżanci biegali i zabraniali takiej strzelaniny. Ale chłopaki mają broń i czują się wolni, nie zagrożeni.

Późnym wieczorem, już po ciemku mijamy Włocławek. Na Wiśle są jakieś barki czy galary. Co obrotniejsi z nas wyskoczyli z szeregów i uzyskali tam czekoladę, konserwy oraz papierosy.

Mimo przejścia już około 50 km marsz trwa nadal. Kierujemy się na Kowel. Zaczęły nam powoli wysiadac nogi i zmęczeni żołnierze kładli się w przydrożnych rowach, sia-

dali na ich poboczach. Naprawdę byliśmy tym marszem skonani. Sierzanci biegali wzdłuż szeregów z nawoływaniem: - Chłopcy, jeszcze trochę! Już za chwilę kwatery.

Przypominam sobie jak wówczas Andrzej Strug w książce "Odznaka za wierną służbę" pisał, że maszerowali dzień, noc i dzień i poszli jeszcze do boju i zwyciężyli.

Zacznę rewidować tego rodzaju informacje własnym doświadczeniem.

Droga prowadziła przez lasy, wreszcie weszliśmy w obejście leśnictwa Kowal. W budynku leśnictwa ściągnięte razem stoły i biurka tworzą platformę, na której pokodem leży ludność cywilna uciekająca przed wrogiem. Wciągnąłem się jeszcze pomiędzy tych ludzi, przycisnąłem karabin do siebie i z chlebkiem pod głową zasnąłem jak zabity. Przez sen słyszałem alarm, jakieś strzały, nie miałem siły wstać na zbiórkę. Zbudziła mnie rano normalna wojskowa pobudka.

Okazało się, że w otaczającym nas lesie nastąpił rzut skoczków spadochtonowych nieprzyjaciela. Chłopcy biegali po lesie, strzelali z jakim takim skutkiem, ale w tej ciemności sami się też postrzelali, dobrze że nie groźnie. Na drzewach wisały rzeczywiście spadochrony, ale skoczkowie gdzieś się ukryli.

Siódmego września rano weszliśmy w opłotki pierwszych zabudowań Kowala. Tam nastąpił już pełny odpoczynek mycie, golenie i dochodzenie do siebie po tak forsownym marszu.

Czyszczono sprzęt, walczono z psychozą szpiegowską / lusterka przy goleniu/. Spory musiał rozstrzygać ppor. Kołczek, adiutant beonu. Odpoczynek trwał krótko, ze względu na niemieckie naloty lotnicze wynieśliśmy się do lasów w rejonie wsi Świątkowice.

Siódmego września oddziały armii "Pomorze" dokonały w nocy przegrupowania. Marsze te odbywały się po szosach i polnych drogach zatłoczonych przez uciekinierów cywilnych z północnych terenów Polski, a także przez kolumny taborów rozbitych na północy dywizji WP. Grupy żołnierzy z rozbitych oddziałów podatni byli na panikę, wywołując nierzadko nocami przypadkowe strzelaniny. Opóźniało to przemarsze, wywoływało zatory, wymuszało marsze w dzień co stwarzało niebezpieczeństwo bombardowań lotniczych.

Staliśmy się formacją etapową "Armii Pomorze". Dowództwo etapów stało w Kroszynie. Z formacji etapowych, wartowniczych, przysposobienia wojskowego utworzono grupę pod dowództwem płk. dypl. Stanisława Świtalskiego. Miała ona utrzymać porządek na tyłach armii, a głównie zatrzymać masy cofających się z rozbitych na Pomorzu dywizji.

Nocleg naszej jednostki wyznaczono w budynku szkolnym we wsi Kłótno. W tych dniach wypadała nam też służba wartownicza przy różnych sztabach. przyznam, że nawet nie wiedzieliśmy przy jakim sztabie staliśmy na warcie - chyba ze względu na tajemnicę wojskową.

W takiej głupkowatej sytuacji nadjechał na motocyklu z przyczepą oficer uzbrojony w lornetkę, mapnik na pasie, rewolwer "vis" do tego w hełmie. Coś się nas pytał, o jakiegoś dowódcę, a my ani be ani me, po prostu gapy.

Przy przemarszu z wioski do wioski nasz dowódca zorganizował sobie od ziemianina linijkę z koniem. To mu dało większą operatywność, ale też myśmy już go prawie nie widzieli. Rządził nami właściwie ppor. Kołeczek oraz szefowie sierżanci.

Utrapieniem naszym były samoloty nieprzyjacielskie, które przy lotach koszących zapędzały nas do rowów przydrożnych. Mając karabiny i amunicję próbowaliśmy strzelać do nisko lecących samolotów, któryś mądrzejszy sierżant krzyknął:

- Chłopcy salwami!

Ale nasze salwy nie były skoordynowane na rozkaz. Dlatego chyba nie mieliśmy na tym polu sukcesów.

Gdzieś przed Gostyniem zostałem oddelegowany w charakterze gońca - łącznika między sztabem naszej grupy a naszym batalionem. Leżałem przy namiocie na polanie leśnej prawie przez cały dzień. W namiocie była centrala telefoniczna a oprócz mnie przy tym namiocie było nas kilku gońców.

Z tym, że oni się zmieniali, a ja raczej odczuwałem, że o mnie zapomniano. Dlatego gdzieś wieczorem zacząłem szukać batalionu i o zgrozo tam gdzie go zostawiłem, tam go nie znalazłem. Musiałem błądzić po lesie, aż po drugiej stronie lasu go znalazłem. Oczywiście, zapomnieli o mnie.

I/1/14

Teraz dalej maszerowaliśmy raczej nocą albo nad ranem. Niektóre stodoły paliły się i łuny pożarów wywoływały atmosferę grozy. Od strony Wisły dudniła artyleria nieprzyjaciela. Było strasznie. Przeszliśmy Gąbin. Na postoju w drodze na Senniki, w którejś ze wsi zaczęliśmy starcić o jedzenie.

Było nas trzech, dwóch młodych, wysokich jak tyka piekarczyków i ja. W czasie marszu dużo mi opowiadali o swej pracy nocnej w piekarni, gdzie pracowali jako czeladnicy. Chodząc od chałupy do chałupy skupiliśmy około 40 jajek i trochę słoniny. W ostatniej chałupie usmażono nam taką wielką jajecznicę, wypadało na każdego z nas po 13 jajek. Podzieliliśmy całą porcję na patelni na trzy części i do roboty. Początkowo wydawało nam się, że za mało wypada na każdego. Popijaliśmy mlekiem. Czy by jadły. Głodni byliśmy, bo do kowala nic uczciwego nie mieliśmy w ustach. A jednak nie daliśmy rady tej jajecznicy, po kolei każdy wyłączał się z jedzenia.

W rejonie Stegny wyszliśmy na pierwszą linię frontu. Po nocy spędzonej w lesku bardzo rano wysunięto nas na jego skraj. To pierwsza linia komunikował ppor. kołczek. Leżeliśmy w tyralierze z krabinami wysuniętymi do strzału, za nami jedno z kompanii, w odwodzie chyba druga a trzecia na prawym skrzydle. Natomiast na lewym ustawiał się dywizjon artylerii konnej. Odprzodkowali działa i jeszcze. Oddali kilka strzałów i wtedy się zaczęło.

I/1/15

Artyleria niemiecka granatami zaczęła pracować po nas i po tej kompanii leżącej za nami. Tej nawały ogniowej nie wytrzymałaliśmy. Zaczęliśmy się wycofywać w kierunku na Brzeznie. W chwili rozpoczęcia ostrzału byłem oparty plecami o drzewo, trochę drzemałem, dlatego zebrałem się trochę późno i biegłem przez las z tyłu, ale gdy z charakterystycznym jazgotem przelatywał nad nami szrapnel rzucaliśmy się na ziemię.

- To niepotrzebne. Kiedy on tak gwiżdże, to już jest za nami - oświeć nas ppor. kołeczek.

- Może to prawda, ale kto na mnie leży.

← To taki odruch - tłumaczył porucznika starszy sierżant z opaską sanitarną. Obaj leżeli na mnie.

W rejonie Wszeliwy a może Brzeznie zbierał nas na drodze nasz dowódca batalionu. Po drodze mijaliśmy w lesie schowane wojska saperские wraz z pontonami 15 dywizji piech., które próbowały za nami zawracać. Ale drzewa w lesie i zawałona przez wojska szosa, a w szczególności przez wozy uciekinierów nie pozwoliły na skomplikowane ruchy saperów. Dowódca sformował z nas czworobok, kazał odśpiewać Hymn Państwowy, powiedział kilka dobitnych słów i wprowadził nas na drogę na Iłów.

Na skutek uzgodnienia współpracy armii "Pomorze" z armią "Poznań" nastąpiło scalenie obszarów etapowych pod wspólnym dowództwem gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego. Służbę na tym scalonym od 3 września miały zapewnić jednostki etapowe armii "Pomorze". W związku z tym grupa płk. Switalskiego /oddz. etapowe, wartownicze PW i gromadzeni rozbitkowie/ otrzymała rozkaz przejścia w rejon Sochaczewa. Możliwe to jednak się stało dopiero neza jutrz wieczorem.

I/1/16

Dziewiątego września rozpoczęła się największa bitwa wojny obronnej Polski 1939 r. - bitwa nad Bzurą. Walki rozpoczęły się na lewo od nas w rejonie Kutna i z wolna przesuwały się wzdłuż rzeki w naszym kierunku. Nasze oddziały otrzymały rozkaz przejścia nad Bzurę, w rejon od Sochaczewa do ujścia Bzury do Wisły. Dla nas wyznaczono kierunek na Brochów. Sztab grupy płk. Świtalskiego zajął 11 września Sanniki/ formacja ON płk. Żurakowskiego i PW ppłk. B. Zgłobickiego/. My teoretycznie objęliśmy dozоровanie Bzury od Sochaczewa do Brochowa. Wieczorem dowództwo obu etapów objął płk Myszkowski. Oddziały podzielono na samodzielnie operujące kompanie. Naszą - w składzie plutonu - dowodził ppor. Kołeczek. 13 września byliśmy w ostrym pogotowiu. Rozlokowani byliśmy w Ruskach gdzie stał sztab grupy. W naszym kierunku strzelała artyleria polowa niemiecka z rejonu chyba Żyrardowa, paliły się stodoły i budynki wiejskie a także stogi. Od strony Warszawy szły na nas podobno czołgi. Następowало przemieszanie linii frontów, mieliśmy nieprzyjaciela od strony "pleców".

14 września dostaliśmy rozkaz przesunięcia się bliżej Bzury w lasy pod Młodzieszynem. W samym rejonie Sochaczewa trwały walki naszej regularnej piechoty z Niemcami. Nasz dowódca powiedział nam, że jesteśmy w okrążeniu i wyjście z niego może nastąpić tylko przy pomocy ataku na bagnety. Niemcy otoczone oddziały - w tym i nasz - chcieli likwidować przy pomocy ataków lotniczych.

I/1/17

17 września znajdowaliśmy się w laskach za Budami Iłowskimi i tam dopadł nas zmasowany atak samolotów nieprzyjacielskich. To co rozpętało się nad nami w tym dniu od godziny 6 rano będzie pamiętał każdy kto był w tym kole między Bzurą a Wisłą. Zmasowane wojska kilku dywizji i grup operacyjnych zostało bezkarnie bombardowane przez lotnictwo nieprzyjacielskie. Przez cały dzień do wieczora. To nie była bitwa a po prostu rzeź. Lotnictwo niemieckie latało dosłownie na wysokości korony drzew i widziało już nie zwarte szeregi lecz rozproszone jednostki żołnierskie leżące plackiem na ziemi. Wycie samolotów nurkowych potęgowało grozę, a ich przerażający gwizd wdzierał się w każde ucho, wydawało się, setkami decybeli.

Zmieniliśmy swoje stanowiska, sądząc, że w innym miejscu będziemy mniej widoczni. Zmieniał miejsce pluton rowerzystów, których srebrne obręcze i migocące, kręcące się szprychy wydawały się nam dodatkowo ściągać dywizjony niemieckiego lotnictwa na kark.

Leżeliśmy przy drodze prowadzącej z Sochaczewa do Wyszogrodu, ale tam zmasowane tabory stanowiły główny cel bombardowania. Najlepszy - tak nam się wydawało - był las - rzadki, pagórkowaty i piaszczysty.

- Gdzie nasze lotnictwo? Gdzie nasze działka przeciwlotnicze?

Dużo byśmy dali by środki na FON nie były propagandą, ale teraz zmaterializowały się w środkach obrony Plot.

Bombardowanie zakończyło się około 7 wieczorem. Na tym pobojuwisku legła nasza armia.

Oodziały przestały istnieć jako zwarte organizacyjnie. Pod koniec nalotu zostałem zraniony jakimś odłamkiem, chyba z rykoszetu od drzewa, w prawą nogę. Po zabandażowaniu i ściągnięciu owijaczem mogłem dalej iść, gdyż kość nie była naruszona.

Wokół ppor. Kołeczka zebrała się grupa nie większa od plutonu, która do północy maszerowała przez to pobojuwisko kierując się ku Bzurze. Szedłem wtedy ciemną nocą po trupach koni, rozbitych wozach, jaszczach, działach i różnorodnym sprzęcie wojskowym. Ani razu noga nie stała na odsłoniętej ziemi. To był naprawdę pogrom.

Po północy pozwolono nam odpocząć. Oparty o stóg niezwiezionego z pola zboża nie mogłem zasnąć. Szok jaki wywołało takie zmasowane bombardowanie, bezpośrednio nad nami wywołał wielki wstrząs. Koło mnie, w czasie nalotu zerwał się z krzykiem starszy podoficer. Pobiegł prosto na nieosłonięte części lasu, gdzie go rozszarpały bomby. Mam wrażenie, że tak jak i ja reszta chłopaków też nie spała. Odpoczynek daliśmy nogom.

Około drugiej w nocy zbudził nas Kołeczek:

- Chłopcy, musimy przejść przez Bzurę. Marsz cichy, aby nie brzękła broń, po drugiej stronie rzeki mogą być Niemcy. Trzeba się będzie wtedy przebijać stakiem.

Noc była ciemna, tylko tu i ~~ówdzie~~ ówdzie rozświecilały ją łuny podpalonych domostw wiejskich.

Szliśmy gęsiego jeden za drugim. Wreszcie doszliśmy do terenów zalewowych rzeki. Z naprzeciwka tymczasem szli też gęsiego żołnierze z hełmami z grzebieniem. Może to Niemcy?. Przechodziliśmy dosłownie o krok od siebie. Ale okazało się że to spieszona nasza kawaleria.

- Dokąd idziecie?

- Na Bzurę. A wy?

- Też na Bzurę.

I tak mijają się dwa plutony idąc każdy w inną stronę z tym samym celem.

Tutej zdumiałem się nad ich losem, bo dla nas iść piechotą to normalne, ale dla nich? Przypomniałem sobie kiedy dochodząc ledwo, ledwo do Kowalawśród naszych szeregów pojawiła się konno kawaleria i któryś tam ułan naraż zobaczywszy nas zaciągnął po kresowemu:

- Panie kapral!

- Nu.

- Panie kapral!

- Nu.

- To zajaczki, panie kapralu.

- Nu - mruknął drzemiący w siodle kapral.

A nami aż zadrżało. To my już ledwie wleczeni nogi, a ci się wożą na koniu i jeszcze dogadują.

Kiedy minęliśmy się z tymi kawalerzystami zeszlismy na groblę i zobaczyliśmy rzekę. W nocy wydawała się groźniejsza, zbyt szeroka.

W pewnym miejscu porucznik skręcił do wody.

- Chłopcy cicho, broń nad głową.

Woda zaczęła być coraz głębsza, aż doszła powyżej pasa, a potem zaczęła wolno się obniżać. Był to bród, którym przeszliśmy nie pływając, po prostu pieszo. Po wyjściu na przeciwny brzeg szybko przebiegliśmy przez groblę czy nasyp. Wpadliśmy do lasu. Było już chyba koło czwartej. Budził się dzień i ten świt suszył ubrania nenas.

Potem dowiedziałem się, że tego dnia nasza trzecia kompania znalazła się na drodze pod Młodzieszynem i tam dostała do niewoli.

My, po jakim takim osuszeniu / ja poprawiłem sobie opatrunek / ruszyliśmy dalej. Ppor. Kołeczek powiedział nam, że idziemy do twierdzy Modlin. Podobno już tam jest ścisk i nie wszystkich przyjmują. Zobaczymy. Narazie grupujemy się w większe oddziały. Ale okazało się, że jesteśmy otoczeni, więc mamy przycupnąć przez cały dzień a w nocy mamy się przebiec przez Niemców do swoich.

Wojska nasze stworzyły jakgdyby krąg. My leżeliśmy z karabinami wysuniętymi przed siebie na małym odcinku tego obwodu. Las nie był gęsty, prześwietlony słońcem. Czasem gdzieś wśród drzew pojawiały się sylwetki Niemców, których przepędzaliśmy głośnym atakiem z krzykiem: -H u r r a ! Goniliśmy ich tak 300 do 500 metrów i wracaliśmy spowrotem. Ale wtedy już na obwodzie leżały już inne oddziały, a myśmy wchodzili do środka tego zgrupowania.

Stał tam tabor wozów przykrytych plandekami, mocno zbity. Ponieważ byliśmy głodni zaglądaliśmy pod te plandeki. Byłem zdumiony, gdy odsuwając nieco plandekę zobaczyłem tam zbiór wyłożonych trąb orkiestry wojskowej. Ale po chwili znowu szliśmy na linię. I tak było do wieczora. Raz pojawił się między nami podpułkownik uzbrojony w lornetkę, pistolet, visa i mapnik.

- Co wam chłopcy potrzeba?

- Przydałby się jakiś karabin maszynowy.

Za chwilę rzeczywiście znalazł się CKM wraz z obsługą, który co jakiś czas siał na nasze przedpole. Wydawało mi się, że Niemcy nie skorzy byli do walki wręcz i chętnie ustępowali przed naszymi strzałami i atakami z okrzykiem "hura". Raczej chodziło im o utrzymanie kontaktu.

Wieczorem zebraliśmy się w kolumnę marszową. Ruszyliśmy w kierunku Modlina. Nam wypadało być na szpicy. Ledwie wyszliśmy z lasu, ukazała się nam droga i studnia przy wsi. Wtedy już cały porządek prysł. Wszyscy zbiliśmy się przy studni i ciągnęliśmy wodę żurawiem. Gdzieś z boku rozległy się strzały i okrzyk "hura". Chyba tam nastąpiło przełamanie. Por. Kołaczek wołał do nas:

- Szybciej chłopcy. Przez wieś i do lasu.

Maszerowaliśmy całą noc a nawet część dnia. Po drodze spotkaliśmy jakąś pannę w błękitnym mundurze PCK z torbą sanitarną, która dołączyła do nas. Postój zmęczonego bractwa nastąpił około południa w krzakach przy polanie, czy wyrębie, na którym był skład zżętych pni i tartak.

Chłopcy wyruszyli wraz z panną do tartaku, gdzie zdobyli kury i gdzie zaczęto gotować dla nas jedło. Ale myśmy w tych krzakach zasnęli kamieniem. Nie spaliśmy już przecież kilka nocy.

Zerwał nas nagle porucznik około piątej-szóstej po południu i od razu marsz na przełaj przez różnego rodzaju przecinki. Dopiero w nocy zorientowaliśmy się, że zgubiliśmy i pannę z PCK i kilku kolegów.

Nad ranem wyszliśmy w okolicy Kazunia. Poranek był mglisty i od czasu do czasu w różnych kierunkach świeciła się latarka wskazując niby to drogę na twierdzę. Zaczęliśmy chodzić trochę w zygzak. Gdzieś przy drodze znalazłem zeszyt w którym na porubrykowanych stronach był spis Niemców z adnotacjami o przebytych szkoleniach w ramach V kolony. Zeszyt przekazałem ppor. Kołeczkowi, który go zabrał, aby przekazać do sztabu.

To chodzenie w zygzak zdenerwowało naszego dowódcę.

- Zaczekajcie chłopcy. Ja zorientuję się w tej mgle gdzie droga na Modlin.

Oparliśmy się o betonowe kopce fortyfikacyjne i z miejsca usnęliśmy. Gdy się zbudziłem z lewego i prawego boku spali moi junacy piekarczycy i nikogo więcej nie było. Tak zerwał się nasz ostatni kontakt z tą resztką batalionu, którą dowodził ppor. Kołeczek. Co się z nimi stało, nie dowiedziałem się już nigdy.

Powlekliśmy w trójkę jak maruderzy w ogólnym kierunku marszu wszystkich tam w Puszczy Kamoinowskiej rozbitych oddziałów, to jest w kierunku na Warszawę. Wreszcie natknęliśmy się na jadących kilku żołnierzy, na czele których szedł w polowym mundurze major ze swoim ordynansem. Zameldowaliśmy się mu jak należy. Machnął ręką.

- Chodźcie ze mną. Modlin odpada. Nikogo nie przyjmuje. Już twierdza jest zamknięta.

Major miał wygląd taki szary, zmęczony ale nam się wydawał bojowy przez to, że miał tylko laskę-kij a na piersiach krzyż Virtuti Militari. Co prawda co jakiś czas wołał swojego ordynansa:

- Masz tam co pić?

- Jest. – I podawał mu zawieszoną na bączku karabinu manierkę.

Po łyku wody oddawał ją ordynansowi a ten zawieszał z powrotem na karabinie a po chwili znowu się powtarzał ten sam epizod między majorem a jego ordynansem. Podobno był ^{on} chory na serce.

Naraz z boku wyjechał na koniu artylerzysta w którym poznałem sierż. pchor ^{Zielińskiego} ~~Zaglińskiego~~ starszego kolegę z mojej budy w Gdyni, a syna właściciela kina „Czarodziejka”. Ten, jak zobaczył majora zaraz jak na obrazie z czasów napoleońskich złożył mu meldunek, że jest tu z baterią DAK`u i prosi o rozkazy.

- Tam odprzodkować i strzelać na wprost. – I machnął ręką w kierunku, w którym maszerowaliśmy.

- Rozkaz. – Odsalutował podchorąży i zatoczył swym koniem w kierunku swej baterii.

Ale majorowi zdaje się znudziło się maszerować dalej na piechotę to też naraz zawołał:

- Panie ^{pod}chorąży. – Zieliński się odwrócił, i wtedy usłyszał: - Z konia.

I major z pistoletem w ręku leciał do niego. Ale nic z tego nie wyszło, bo Zieliński podciął konia i już go nie było, a myśmy przytrzymywali majora za rękę.

- To tak! Chciał pan strzelać by zdobyć konia! – I wypowiedzieliśmy mu posłuszeństwo.

Właściwie zatrzymaliśmy się i przyłączyliśmy się do nadjeżdżającej baterii Zielińskiego. Zobaczyłem jak się działa odprzodkowały i przygotowywały do strzelania.

- Co ty tu robisz? – Zaczepił mnie podchorąży Zieliński. – Co tam w Gdyni?

- Jestem z junakami z rozbitego naszego batalionu przysposobienia wojskowego z Torunia, który został rozbity nalotem bombardujących samolotów nieprzyjaciela 17 września w widłach Bzury.

Dostaliśmy trochę chleba, ale mając smutne doświadczenia z kontaktów z artylerią pod Stegnami woleliśmy się do niego nie przyłączać, mimo zrobionej nam przez Zielińskiego propozycji. Jedyne co nas mogło łączyć to nasze rogatywki z jasnozielonym otokiem reprezentującym lekką ^{artylerię} ~~kawalerię~~ (ciężka nosiła otok czarny). Ale to jednak uważałem że nie jest w pełni wystarczające.

Wobec czego znowu ruszyliśmy w swoją drogę. I zaraz za którąś przecinką znaleźliśmy maszerujący niecały batalion piechoty w dość uporządkowanym szyku. Więc nie namyślając się wcale, dołączyliśmy na końcu tego oddziału, po prostu jak gdyby nigdy nic. Byli to zorganizowani w oddział piechoty rozbitki któregoś pułku piechoty z 25 dywizji piechoty „Poznań”. Dowodził nimi zawodowy podchorąży w stopniu sierżanta. Czuliśmy się piechotą i ciągnęło nas do piechoty. Dowódca oddziału zgodził się z taką naszą interpretacją i nic nie miał za włączeniem nas do którejś kompanii.

Z batalionem tym jeszcze jeden dzień w puszczy czekaliśmy do nocy, bo znowu znaleźliśmy się w kotle. Te kotły się co chwilę tworzyły i były też rozrywane przez PRZECIEKAJĄCE ?????34???? wojska znad Bzury. Po prostu byliśmy w tym lesie przemieszani z oddziałami niemieckimi. Tutaj może z tego względu nie groźne stało się dla nas lotnictwo niemieckie, za to pojawiła się dla nas (przynajmniej) nowa rzecz to czołgi. Sześciu na Palmiry, Izabelin, Łomianki Górne, ~~ale wcześniej – to już było~~ (21 września) – W południe byliśmy w Palmirach. Wszedłem do izby, która była kuchnią. Na stołku dziewczyna, w kotle miesza kapuśniak. Dookoła żołnierze czekają kiedy będzie można otrzymać coś do menażki.

- O choroba a ja tak dawno nie jadłem. Właściwie kiedy to ja miałem coś gotowanego widziałem.

Ale nie długo dano mi się tak nad sobą rozżalać. Podchorąży po prostu wziął mnie na zwiad aby się zorientować w sytuacji.

Na drodze zobaczyliśmy grupę oficerów wyższych stopni w kurtkach, w pasach, uzbrojeni, z mapnikami, lornetkami i takimi różnymi akcesoriami, które nadawały im charakter bojowości. Mój nowy dowódca zameldował się i stawił do dyspozycji komendę nad swym rozbitym oddziałem, ale zrozumiałem, że ich taktyka sugerowała przebijanie się raczej w pojedynkę, mniejszą grupką co najwyżej niż tak wielką gromadą, która może i przedstawiała jakąś realną siłę, ale jej znacznosc ściągała wzrok nieprzyjaciela. Tak, że z porządkowania nic nie wyszło.

- Będziemy się w takim razie przebijali razem sami. – Rzekł do mnie podchorąży.

Oficerowie tylko dla porządku poinformowali nas, że na przedpolu Warszawy, do której mamy nie więcej jak 10 km, znajdują się jednostki pancerne i zmotoryzowane. Jednym słowem czołgi.

Muszę zaznaczyć, że przemarsz przez Puszcę Kampinoską nie odbywał się na łeb na szyję. Zmęczenie robiło swoje a i zbudziła się w nas jakaś lisia ostrożność. Poza tym chciano jak najwięcej sprzętu uratować z pogromu. Widziałem, jak przy drodze pod lasem w piasku ugrzęzło działo chyba z artylerii najcięższej. Wszyscy, którzy tam byli próbowali to działo wyciągnąć wraz z końmi i obsługą artyleryjską z tego piachu. Nie wiem czy takim pchaniem nawet sobie nie przeszkadzali. Dopiero nadjechał oficer artylerii konno i widząc

ten tłum żołnierstwa obwieszony u armaty, zaprowadził porządek. A potem dyrygując orczykami najpierw lewa strona potem prawa lekko wyprowadził działo na drogę.

Pomyślałem sobie – wszędzie jest potrzebna fachowość i doświadczenie.

My tymczasem wróciliśmy do resztek naszego batalionu, a potrzeba snu zmusiła mnie i moich dwóch junaków do zakopania się w sianie na pięterku na strychu.

Gdzieś około 11-stej ostrzał artyleryjski zwałił nas z naszego legowiska, wyskoczyliśmy na zewnątrz, gdzie zaczął się w tej sytuacji zbierać nasz baon. Musiałem się wrócić na ten strych, gdyż w pośpiechu zostawiłem swój karabin (tak szybko zjechałem po drabinie, bo wydawało mi się, że pocisk trafił w ten dom).

Ruszyliśmy marszem ubezpieczonym wzdłuż torów kolejki leśnej. Trzeba zaznaczyć, że pietra mieliśmy z uwagi na owe czołgi. To też idąc na szpicy przy wszelkich skrzyżowaniach kolejki z leśnymi drogami skrzętnie wypatrywaliśmy śladów gąsienic, a po ich zauważeniu zaraz meldunek do tyłu:

- Czołgi.
- Działko ppanc do przodu. – Zarządził na to nasz dowódca.

Wszystko stawało. A działko, które gdzieś tam ciągnęło się w ogonie, było przeciągane do przodu i wtedy oddział ruszał. Działko nie nadażalo za szpicą. To też na następnym śladzie cała operacja powtarzała się według powyższego schematu.

W tej sytuacji marsz nasz był może wzorem taktyki ale na te nie wiele kilometrów zmitrężyliśmy całą noc. Gdzieś około 2-giej w nocy nastąpiło rozwinięcie batalionu w tyralierę. Z boku odezwały się granaty i gromkie hurra. Wtedy i my zaczęliśmy biec byle do przodu i tak wpadliśmy w pierwsze opłotki Warszawy. Był czwarty piątek wojny 22 wrzesień. Poranek. Zbieramy się i w dwóch szeregach zaczęliśmy wchodzić w pierwsze ulice stolicy.

Myśmy się w trójkę odmeldowali.

- Chodźcie z nami. Dobrze nam było i jesteście w rzetelnym baonie piechoty.- Namawiał nas podchorąży.

Ale nam się wydawało, że musimy znaleźć naszych i dołączyć do szeregów junackich. To też dochodząc do Marymonckiej weszliśmy w trójkę na teren Akademii Wychowania Fizycznego, dokąd skierowano spływające z Kampinosu wojska.

W STOLICY

Na terenie parku Akademii Wychowania Fizycznego na Bielanach w Warszawie było zgromadzenie żołnierzy z rozbitych armii Pomorza i Poznań różnego rodzaju broni, którzy chodząc w tym tłumie wykrzykiwali nazwy swoich jednostek macierzystych. W tej sytuacji krzyki te raczej dezorientowały a nie ułatwiały organizację. Gdyśmy się zorientowali, że naszych tutaj nie ma, a o jedzeniu dla nas nikt nie myśli, wyskoczyliśmy przez mur (bo przez bramę raczej nie wypuszczano) na miasto celem zdobycia chleba. Odsyłając nas od piekarni do piekarni znaleźliśmy się w końcu na Pradze, gdzie podobno miało być zaopatrzone wojsko w chleb. Skończyło się na tym, że odesłano nas z powrotem za Wisłę do Warszawy do koszar na ulicę Szwoleżerów (powiedziano nam, że na Agrykoli), to też idąc Czerniakowską omal nie weszliśmy na linie obronne na południu Warszawy. Tutaj w koszarach na szwoleżerów i nakarmiono nas zmieniono opatrunek i skierowano do służby w junackiej kompanii wartowniczej, która mieściła się w Szkole Artystycznej na rogu Myśliwieckiej i Hoene-Wrońskiego.

Dowódcą był wąsaty, groźnie wyglądający porucznik rezerwy piechoty, starszy człowiek o dość łagodnym sposobie bycia. Warty wystawialiśmy przy magazynach żywnościowych na Solcu w rejonie ulic Fabrycznej i Przemysłowej. Budynek szkoły – spełniający dla nas funkcję koszar, w którymś dniu znalazł się pod ostrzałem artyleryjskim ale konstrukcja żelbetowa wytrzymała te uderzenia dość sprężyście. Nie mniej przenieśliśmy się do piwnicy, gdzie zorganizowaliśmy spanie na przewróconych szafach.

Myśmy dostawali trochę chleba, czarną, zbożową kawę oraz szklankę gotowanego ryżu. Stojąc przy magazynie konserw rybnych dostawaliśmy i stamtąd mały deputat.

Miasto w tamtych dniach przedstawiało atmosferę podekscytowania. Kolejki uliczne ludzi przy studniach i pompach z wodą, zabite i leżące na jezdniach konie oraz wybuchające tu i ówdzie pożary widziało się na porządku dziennym. Ludność biedniejsza na Solcu głodowała, dlatego próbowała nas na warcie przekupywać pilnowanymi przez nas konserwami. Trzeba zaznaczyć, że poderwana od dołu taka ściana konserw lecąc mogła zatłuc kobieciny, które na ogół przez dziurę w ogrodzeniu dostawały się do magazynu.

Z uwagi na ranę w nodze koledzy wyręczali mnie w pełnieniu warty, na którą się z resztą chętnie wybierali.

Gdzieś przy ul. Profesorskiej była rozbita willa, a różne rzeczy były wyrzucone na ulicę. Był tam indeks jakiejś studentki ale i były rozbite i wyrzucone konfitury i przetwory owocowe. Stamtąd wziąłem butelkę esencji rumowej, która się potem przydała w niewoli.

Dwudziestego piątego byliśmy w potężnym bombardowaniu i pod ogniem dział artyleryjskich nieprzyjaciela. Walily się całe ściany domów, pożary wzniecały się na dachach budynków. Zaczynało być groźnie. 27 września ustały strzały, dowódca podał w rozkazie

dziennym, że nastąpiło zawieszenie broni. Poszedłem na miasto, gdyż kombinowałem zdobyć cywilne ubranie i pozostać w Warszawie. Moi junacy z Torunia na powrót do grodu Kopernika. Doszedłem Wiejską do Placu Trzech Krzyży. Palila się prawa (od strony Wisły) strona placu. Afisze gen. Rómmla informujące, że z braku wody, żywności i amunicji poddaje miasto.

Przyznam, że wydawało mi się że tak źle nie jest, ale ja nie miałem żadnych informacji jak jest naprawdę. W każdym razie nie czuliśmy się pokonani i zdawało mi się, że mogliśmy dalej się bronić. Tam 17 września nad Bzurą było gorzej.

Z całego rekonesansu na miasto przyniosłem tylko spodnie cywilne – trochę za mało, aby wiać z wojska.

Następnego dnia 28.IX. przed frontem całej kompanii na dziedzińcu szkoły przy Myśliwieckiej dowódca odczytał nam rozkaz kapitulacyjny.

- Ale chłopcy! Wojna jeszcze nie skończona.

Odśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła” (to już drugi raz w tym wrześniu). I polecenie podziału oddziału na tych, którzy chcą pozostać po stronie zachodniej i na tych, którzy chcą przejść na tereny zajęte przez wojska radzieckie.

Wtedy dowiedzieliśmy się, że tereny za Bugiem zostały zajęte przez Rosjan. Nic nie wiedząc o ojcu, a mając całą rodzinę na Polesiu wybrałem „wschód”.

Dla nas zbiórkę wyznaczono w koszarach kawalerii w rejonie ul. Szwoleżerów. Żegnałem się z moimi junakami toruńskimi piekarczykami, bośmy się naprawdę żyli. Namawiałem ich: nie idźcie do Torunia. Nie wiem skąd mieliśmy wiadomość, że Niemcy wyłapują junaków i rozstrzelują. Ale trudno, przeważały sentymenty rodzinne.

Na drugi dzień było składanie broni na terenie parku szpitala ujazdowskiego, a wieczorem 29-ego odmaszerowałem do koszar na ul. Szwoleżerów.

W NIEWOLI

Noc z 29 na 30 września spędziliśmy w pustych koszarach. Na dziedzińcu palono ogniska. Co jakiś czas dochodziły transporty następnych oddziałów, aż wreszcie gdzieś od 4-tej rano zaczęliśmy się zbierać i formować kolumnę do wymarszu.

Maszerowaliśmy ul. Agrykołą i Alejami Ujazdowskimi przed gmachem GISZ`u, gdzie widniało hasło „Honor i Ojczyzna”. Następnie ul. Belwederską wychodziliśmy z miasta w kierunku Góry Kalwarii. Gdzieś na rogatkach miasta musieliśmy zejść z drogi i przeczekać z boku, aby ustąpić wkraczającej armii niemieckiej. Stojąc tak z boku przez jakieś 5 – 6 godzin odbieraliśmy jak gdyby defiladę – przegląd siły 8 armii nieprzyjaciela.

Ani jeden żołnierz nie maszerował, tylko wszystko to jechało na samochodach, wozach bojowych, działach, ^{TASZCZACH} ~~??????????~~, no a kawaleria konno. Przyglądaliśmy się okiem tych, którzy przeszli dziesiątki kilometrów pieszo dźwigając cały dobytek na plecach i obciążeni dodatkowo uzbrojeniem, gdy ich tymczasem wożono. A nawet broń w kawalerii niósł koń.

Po ich przejściu, wreszcie i my ruszyliśmy w naszą smutną drogę. Późnym wieczorem wchodziliśmy na zagrodzony taśmą teren na polu z ustawionymi po rogach karabinami maszynowymi, oraz oświetlonymi reflektorami ustawionymi na samochodach.

Byliśmy w Górze Kalwarii.

Noc, chociaż na słomie nie była do spania. Po prostu w czasie marszu wszyscy się przemieszali i teraz postanowili się odnaleźć, wobec czego wszyscy zaczęli chodzić w obręb taśmy i wykrzykiwali nazwy swoich jednostek wojskowych.

Od następnego zaczęto nas organizować w setki, na których czele stali podoficerowie w stopniu kaprali lub plutonowych. Po kilku dniach tymi setkami zostaliśmy przenoszeni na teren koszar pułku artylerii najcięższej. Sprzyjały temu rozmieszczeniu wielkie hangary po działach. Na betonie rozrzucono słomę, i tam znaleźliśmy swoje legowiska. Teren tego obozowiska przylegał do łąk nadwiślańskich. Przez bramę w ogrodzeniu od strony rzeki przepuszczali Niemcy z każdej kompanii po dwóch, trzech jeńców z wiadrami po wodę. Raz udało mi się być takim nosiwodą, co dało mi szansę umycia się w rzece.

W obozie zaczął się głód. Zaopatrzenie nas przez Niemców było raczej symboliczne jeżeli chodzi o ilość. Bochenek na dziesięciu, szprotka na pięciu, płatek sera żółtego na dziesięciu i tak dalej. W ten sposób menu było urozmaicone, ale mikroskopowe. Na razie mieliśmy jakieś zapasy własne (ja chyba pół kilograma cukru, butelkę esencji rumowej i trochę konserw rybnych) ale te zaczęły się gwałtownie kurczyć. Poza tym zaczęła się przedłużać nasza ewakuacja na wschód. To też naraz postanowiono zbuntować się i z 14 na 15 października w nocy dokonać buntu.

Ten ostatni wieczór zaczęły się całe grupy łączyć razem i rozśpiewały się w swych ludowych pieśniach. Będąc w grupie poleskiej słuchałem ciągnących się powolnych pieśni w stylu:

Stojiii dwoora

Wysookajaaa..a

Gdzieś około godziny 23 naraz rozeszła się wiadomość, że rano wymaszerujemy na wschód, więc szefowie odwołali akcję buntowniczą.

Od godziny piątej zaczęto formować szeregi i zaczęliśmy wychodzić z obozu na drogę w stronę Warki. Pamiętam, że wtedy spadł pierwszy śnieg. Biało było na polach. Na drodze śnieg mieszał się z grudą tworząc błoto. Tymczasem my do zimy byliśmy zupełnie nie przygotowani: płaszcze potargane, pod spodem letni drelich i buty – w strzępach. Swoje buty próbowałem ściągnąć trokami ale to nie wiele pomogło.

Z uwagi na brak mostu na Wiśle w tym rejonie Niemcy przerzucili most pontonowy w rejonie Konar, dlatego pierwszy odcinek marszu prowadził na południe wzdłuż Wisły. Dopiero po przejściu Wisły w Wildze wykręciliśmy na północ. Maszerowaliśmy przez wsie o tej samej nazwie tylko z dodatkami Jezioro czy Szlacheckie. Żołnierze wypadali z szeregów do zagród po chleb, mleko i próbowali się ukryć u chłopów. Zostali oni później wychwytani przez naszych konwojentów i dowiezieni samochodami do obozu w Mińsku Mazowieckim. Tam bowiem prowadziła nasza droga przez Sobiełnie, Sobiekursk i Kołbielsk. Stąd, jako z dużego węzła kolejowego mieliśmy być wytransportowani, już koleją na wschód. W sumie te około 80 kilometrów szliśmy cały dzień 15 października i całą noc i nad ranem 16.X dopiero weszliśmy na teren fabryki taboru kolejowego, w której założono nasz przejściowy z kolei obóz.

Tutaj w Mińsku Mazowieckim oczekiwaliśmy na uzgodnienie Niemców z Rosjanami na przejście za Bug. W obozie zaczęła się czerwonka. Warunki były gorsze jak w Górze Kalwarii. Rozgościliśmy się na podwórzach przy wiecznie palących się ogniskach. Pamiętam, że pod koniec pobytu w bloku administracyjnym fabryki otwarto punkt sanitarny i tu mnie zdezynfekowano ranę na nodze i założono nowy, poprawny opatrunek. W obozie panował głód. Normy ilościowe zostały jeszcze bardziej ograniczone licząc chyba, że nas lada chwila przekażą stronie radzieckiej. Wtedy z kolegą-jeńcem Ćwirko-Godyckim umyśliliśmy położyć się na wyważonych wrotach blisko ogniska, by nie tracić tej reszty energii, która w nas drzemała. Nic nie mogło być dla nas gorszego. Traciliśmy gwałtownie siły tak, że trzeba było nas wnosić na noszach do wagonu. Pierwszy transport odchodził gdzieś 22 października. Jechaliśmy w zamkniętych krytych wagonach towarowych. Po całej jeździe, po minięciu Siedlec i Łukowa znaleźliśmy się z powrotem... w Mińsku Mazowieckim. Ot po prostu coś tam nie zagrało w niemiecko-rosyjskiej kooperacji i transport cofnięto.

Z pułków kawaleryjskich a także z 30 dywizji piechoty, Żydów, którzy tworzyli odrębną kompanię Niemcy używali do sprzątania obozu. A trzeba powiedzieć, że warunki sanitarne były nad wyraz skandaliczne, stąd czerwonka i ofajdany cały obóz. Dużo było rannych, oczywiście lekko rannych. Jeden z nich miał w miejscu serca dziurę w piersiach i plecach od

kuli, która przeszła przez niego w chwili skurczu serca nie raniąc tego organu. No po prostu cud.

W dwa dni później podstawiono nam wagony, i znowu jazda koleją na wschód. Transporty szły albo na Czeremchę albo na Terespol. Tym razem transport odbył się układnie. Gdzieś 24.X po południu wyładowaliśmy się na stacji w Terespolu i marsz w bok do nie wykończonych koszar chyba lotnictwa, gdzieśmy spędzali ostatnią noc pod strażą niemiecką. Tutaj dostaliśmy ciepłą wojskową kawę, trochę chleba i tutaj można się było przede wszystkim opłukać. W obozie tym znalazłem porządny płaszcz gabardynowy, wcięty do figury a przede wszystkim cały. Na swoje nieszczęście nie zwróciłem uwagi, że na naramiennikach wydarte były dystynkcje oficerskie.

Rano marsz z koszar z powrotem do Terespoła i następnie na most kolejowy na Bugu. Przedstawiciele Armii Czerwonej – tak jak przechodziliśmy dwójkami przed nimi wypytywali się każdego o kierunek, dokąd idziemy.

- Ku da?
- Pińsk. – Powiedziałem.
- Gorod ili sieło?
- A czort wie co oni chcą ode mnie.
- Jedziesz na wschodnią stronę, a języka nie znasz. – Miasto czy na powiat. – Ktoś mi wytłumaczył pytanie komisarza radzieckiego NKWD.
- Miasto.

Przeszliśmy kolejowy most ażurowy i już po tej drugiej stronie zostaliśmy otoczeni przez oddziały kawalerii radzieckiej, która w miarę jak zbliżaliśmy się do Brześcia została zastąpiona przez pułk roboczy umundurowany dość różnorodnie. W Brześciu uderzyły nas w oczy duże transparenty, czerwone z białymi literami i wielkie portrety. Poczulem się w Azji. Wprowadzono nas na stadion sportowy w sąsiedztwie dworca kolejowego. Na boisku od jednego końca do drugiego w poprzek ustawiono stoły z pisarzami a za nimi stoły z chlebem, ale żeby się do niego dostać trzeba było uprzednio podać pisarzowi swe dane do ankiety. A miał ich chyba z czterdzieści; i o rodzinie, i o jednostce wojskowej, i o dowódcach, i o własnych szkoleniach. Wreszcie to się skończyło i dorwaliśmy się do chleba. Wypchałem nim plecak. Okrągły razowiec pachnący po takim okresie głodu wydawał się tortem. Ale dalej dymiły kotle z zupą, tylko, że do nich drogę znowu przegradzały stoły z pisarzami i nowa ankieta. O teraz, to trzeba uważać. W tym widać wyraźnie jakąś metodę. Ale przy tej znowu wielopunktowej ankiecie chyba próbowano ewentualnych podrzucanych przez stronę niemiecką szpiegów lub ukrywających się wśród nas oficerów, którzy musieli uchodzić spod okupacji niemieckiej. W każdym razie teraz już tak żywiotowo nie podawaliśmy danych do ich wykazów. Za tymi stołami nie tylko dymiły kotle z zupą, ale i stosy mydła schichta z jeleniem (takie duże bloki do prania) gdzieś zwiezione z magazynów wojskowych. Zapakowałem

chyba z cztery kawałki do plecaka. Przede wszystkim wreszcie rzuciliśmy się na zupę z chlebem i poprawiły się nam trochę humory. W ten sposób traciliśmy czujność i wobec powstającej sytuacji psychicznie się demobilizowaliśmy. A przecież nie byliśmy na wolności ale w niewoli. Do mnie przyczepił się jakiś żołnierz sowiecki, widząc na ręce, na pasku kompas, który wziął za zegarek. Tłumaczę jak umiem, że to nie „czas” tylko kompas. Przykładam do ucha, że nie tyka. Próbowałem go kilkakrotnie zgubić w tłumie, ale za jakąś chwilę się znajdował. Dawał nawet 20 rubli, z ja nie i nie. Chciałem mieć jakąś pamiątkę z tych wypadków, choć to był bardzo prymitywny, taki chłopięcy kompas, a także liczyłem się, że gdy się zorientuje że to nie zegarek, może się na mnie mścić. Nie potrzebny mi był taki kłopot.

W międzyczasie zaczęto wywoływać kierunki odjazdów pociągów. Najpierw na Białystok, Grodno, następnie na Baranowice potem na Kowel, Łuck, Dubno. I zaraz potem słyszę kierunek Żabinka, Kobrin, Janów Poleski, Pińsk, Łoniniec. Za plecak i do wyjścia. Formujemy się dwójkami i krótkim przejściem wychodzimy z tunelu na peron. Z prawej strony stoją przygotowane dla nas wagony, a tymczasem czterech – pięciu NKWD-ów każdego jeszcze prześwietla. Dochodzę do takiej dwójki.

- Ty oficer. – Mówi taki jeden z bródką.
- Coś ty, ja mam dopiero 18 lat. Jaki tam oficer.

Obrośnięty, tyle dni w polu, do tego nie myty, nieco czarniawy na twarzy, możliwe że wydawałem się im starszy niż byłem rzeczywiście.

- Panowie, nie mam tyle lat, żeby być oficerem. A okulary, bo jestem krótkowidz.
- Nie gadaj. A to co. – I taki pokazuje wyrwane dystynkcje z naramienników płaszcz.
- To nie mój płaszcz. Ja go znalazłem w Terespolu. Co wy?
- Do pierwszego wagonu. Niczewo i bistro.

Zdziwiłem się, bo skład był z wagonów pullmanowskich. Długi korytarz i poszczególne przedziały wypełnione takimi jak ja, może starszymi nieco. Wyczuwało się, że to brać podchorążacka dobrana przez NKWD.

- To nasze wagony.
- Jeszcze nie poszerzyli torów, to nasze składy. Nie wiadomo, czy nie wywiozą w głąb Rosji. A wy dokąd?
- Do Pińska. – Odpowiadam sadzając się w środku i w kierunku jazdy pociągu.

Pociąg rusza. Gwar ustał. Monotonia jazdy usypia. Słyszę przez sen tylko: Ty w Kubryniu nie stanął. Jakieś poruszenie. Soldat od drzwi – małczy, małczy.

Ktoś mnie trąca. Pociąg stoi.

- Ty, twój Pińsk.

Biorę plecak, wychodzę na korytarz. Jeszcze ktoś idzie przede mną. Przeskakujemy śpiącego żołnierza sowieckiego i wyskakujemy z wagonu.

Jest noc. Chyba pierwsza, druga w nocy. Parowóz stoi przed ruchomym ramieniem i nabiera wodę. Do stacji jest dobre 500 metrów. Idziemy wzdłuż torów i wchodzimy na stację. Poczekalnia w holu z prawej strony oświetlona. Jest nas ze trzydziestu. Postanawiamy przeczekać do rana, bo wiemy, że ze stacji do miasta jest kawał drogi. Któryś chce wyjść do holu poszukać ubikacji, a tu w drzwiach wojak z karabinem.

- Nie Izia.
- Co ty. – A on swoje: nie Izia i nie Izia.

Na to jeden z podchorążych.

- Panowie jesteście otoczeni. Na holu też żołdacy. Tylko wiać póki czas.

Robi się rumor, wybiegamy na hol. Ja w drzwi wyjściowe, na plac przed dworcem.

- Stoj, stoj. – I naraz strzały.

Rozbiegamy się wachlarzem. Słyszę stukot kopyt końskich przejeżdżającej dorożki. Na słuch biegnę w tę stronę i wpadam w sam środek dorożki. Ktoś mi pomaga się dźwignąć. Dorożkarz smaga konia, dorożka przyspiesza jazdę. Okazuje się, że w niej znajduje się kilku starszych Żydów, mających synów w naszym wojsku. Okazuje się, że takie transporty przejeżdżają przez Pińsk nocą już od kilku dni.

- Z jakiego obozu?
- Ja z poddanej Warszawy, z Mińska Mazowieckiego.
- A czy tam byli żołnierze – Żydzi?
- Byli. Zorganizowane w osobne kompanie i Niemcy ich pędzili do robót porządkowych.
- Do jakich robót?
- No, zakopywali wszelkie łajna w obozie. Przecież tam na dziedzińcu może z 30 tysięcy luda. Pokazała się czerwotka, wszystko robi, gdzie stoi po kilka razy.
- A ty nie widział tam Rosenkranza, Eisenberga, Bibersteina? – Jeszcze wymawiali kilka nazwisk.
- Możliwe widział, ale ja ich nie znałem. W naszym oddziale takich nie było.
- Gdzie ciebie zawieźć?
- Pod bank na Ogińskiego, tam mieszka mój wuj.

Nie chciałem aby mnie zawieźli do niego. Jazda koleją bez zatrzymywania, te strzały na stacji, Bóg wie ilu uciekło, gdzie będą szukać. Spowodowało to, że zrozumiałem. Jest okupacja i trzeba się kryć.

I tak się szczęśliwie złożyło – same przypadki – nabieranie wody przez parowóz, a więc przymusowy postój i zaspany wartownik i ucieczka z dworca i ta dorożka z Żydami w tę ciemną październikową noc.

Wysadzili mnie przy bocznej furtce, nieomal naprzeciwko ul. Karolińskiej. Przeczekałem aż odjechali. Szczęście nie opuszczało mnie dalej. Doczłapałem do wujka domku i stukam w drzwi, i do okiennicy, i od podwórka do okna w kuchni. Wreszcie usłyszałem:

- Kto tam?
- To ja Jurek.

Uchylili mi drzwi od kuchni.

- Nic nie chcę. Tylko spać wujku.

Ale wujek do mnie:

- Masz szczęście, drugą połowę domku zajmują oficerowie NKWD, ale oni na noc pojechali do więzienia. A ty taki brudny. Do balii.

Nagrzali mi wody. Wyszorowany, w nocnej koszuli znalazłem się po prawie dwóch miesiącach w łóżku. A wujostwo w tę noc jeszcze spalili mundur i plecak, aby śladu nie było po wojsku. Byłem w domu.

Był 26 października 1939 roku.

Rano znalazła się i mama, i siostra, i brat mieszkający u Płazaków. Wtedy przyszła kartka pocztowa od ojca: jest u stryja pod Krakowem.

Trochę podleczywszy ranę na nodze 6 grudnia przez Małkinię przekroczyliśmy granicę demarkacyjną - (w środku Polski) między obiema okupacjami – do Guberni Generalnej, a 10 stycznia zaprzysiężono mnie jako żołnierza ZWZ w Krakowie.

Tak sądzę, że gdybym planował ucieczkę z niewoli sowieckiej, to nigdy bym nie ubrał płaszcz oficerskiego (zamiast swojego podartego żołnierskiego), ukrywałbym się w tłumie szeregowych, a nie pchałbym się do elitarnej grupy podchorążych i wreszcie w samym Pińsku, po wyskoczeniu z pociągu wyrwałbym opłotkami, jak najdalej od stacji itd. I wtedy, widzę dziś, że byłbym złapany zaraz przy pierwszym potknięciu.

LOSY INNYCH KOMPANII PW-TORUŃ

Oddziały, które poszły jako konwojowe drugiego września, po zadaniu internowanych dołączały na trasie marszu naszego półbatalionu, o czym pisałem w pierwszej części „Mojego września”.

Po podzieleniu się w terenie po Stegnie kompanie w czasie 16-18 września dostały się do niewoli niemieckiej. Natomiast te pół batalionu, które wyszło 3 września pod dowódcą kpt. Drzewieckim, mając za zadanie doprowadzić 600 – osobową grupę internowanych Niemców do Warszawy, miała trudności z nimi w rejonie Aleksandrowa. Niemcy zaatakowali w nocy konwój na postoju, wytworzyła się strzelanina, byli ranni i zabici i sami junacy też się postrzelali tak, że jednemu trzeba było w najbliższym szpitalu rękę amputować. Po opanowaniu buntu kpt. Drzewiecki doprowadził całą grupę do Warszawy i zdał ją na cytadeli, a sam z junakami dołączył do batalionu PW „Poznań”. W obronie Warszawy między innymi gasili pożar Zamku Królewskiego na Starym Mieście. Po poddaniu Warszawy oficerowie i podoficerowie poszli do niewoli, natomiast junaków zwolniono do domu. W Toruniu już czekało na nich gestapo i z wieloma się krwawo rozliczono.

W roku 1940 Niemcy zorganizowali proces kpt. Drzewieckiego, którego przywieziono z oflagu. Osadzonych było w nim ponadto 3 podoficerów i 22 junaków. W procesie 5-ciu junaków uniewinniono i przewieziono ich do Bydgoszczy, gdzie 26.05.1942 stracono w lochach gestapo. Natomiast pozostałych, uznanych za winnych ścięto toporem w cytadeli w Poznaniu 2 i 3 lipca 1942 roku. Samego natomiast dowódcę, kpt. Drzewieckiego powieszono publicznie w Toruniu w dniu 1.07.1942 roku.

Toruń uczcił pamięć naszego dowódcy, nadając szkole podstawowej nr.3 przy ulicy Żwirki i Wigury imię kpt. Jana Drzewieckiego, natomiast w izbie przemysłowej w Toruniu ufundowano tablicę pamiątkową, na której figurują wszystkie nazwiska zamordowanych w procesie junaków.

Dane te uzyskałem na pierwszym naszym zjeździe, jaki się odbył 4.12.1982 roku w Toruniu.

PRZEKROCZENIE GRANICY DEMARKACYJNEJ W GRUDNIU 1939

Zapis, że „...6 grudnia przez Małkinię przekroczyliśmy granicę...” jest trochę lakoniczny, nie było to takie proste.

Jeszcze w Pińsku atmosfera wokół powrotu do centralnej Polski raczej gruntuwała się w środowisku tzw. „bieżeńców wojennych”. Mieszkańcy stali – Polacy – nie widzieli takiej potrzeby porzucenia mienia i zdecydowania się na tułaczkę na stronę niemiecką tak samo niepewną jak po stronie rosyjskiej.

Natomiast wśród bieżeńców – uciekinierów na Polesie – wobec zakończenia działań wojennych na terenie Polski, rodził się naturalny pęd powrotu na swoje poprzednie miejsce zamieszkania. Nie mieliśmy żadnych wiadomości, jak się utworzyły stosunki na ziemiach po stronie niemieckiej.

Nam bodźca do wyjazdu dała kartka pocztowa ojca, która via Moskwa, z Krakowa przyszła z końcem listopada z Pińska. Zaadresowana była alfabetem rosyjskim – stryj w I wojnie światowej był w niewoli rosyjskiej jako żołnierz CiK. Austrii i stąd znał pismo Graždanki. Pewnie i to przyspieszyło jej dostarczenie do Pińska. Wiedzieliśmy już gdzie się udać. Dodatkowo przyspieszyła nasz wyjazd wiadomość, że na linii demarkacyjnej miała być wymiana strzegącego jej wojska na straż sowiecką graniczną, a z tą to już nie będzie tak łatwo przekroczyć granicę.

Oczywiście o oficjalnym przejściu granicy nie mogło być mowy. Cała wyprawa to było od razu pomyślane przekroczenie na dziko. Nie wiem kto i skąd mieliśmy wiadomość, że takie przekroczenie jest tylko możliwe na trasie ^{kolejowej} Warszawa – Białystok. Granica wtedy biegła Bugiem, z tym, że stacja Małkinia jako węzłowa należała do okupacji niemieckiej.

Zebraliśmy się metodą harcerską w plecaki i chyba w dwie walizki i koleją przez Żabinkę do Białegostoku. W Białymstoku były gigantyczne kolejki przy kasie do Kępiste Borowego. Dalej już pociągi nie chodziły. Ostatni odcinek podwozili furmankami miejscowi chłopcy gdzieś w rejon okolicznych lasów w Zarębie Kościelnej, skąd do granicy było około 7 km. Ale najpierw trzeba było dojechać koleją do Kępisty. Pociąg do granicy był zatłoczony, bo takich jak my, skorych do przejścia na stronę niemiecką, to była większość jak nie wszyscy. W pociągu wymieniano wiadomości dotyczące samego przekroczenia (nie wiem skąd oni mieli te wiadomości, jeżeli nikt z tamtej strony nie wrócił na stronę sowiecką). A więc po przekroczeniu samej granicy sowieckiej, jak będziemy w pasie neutralnym, to gdy usłyszymy niemieckie – wer da – należy się oświetlić baterijką, a Niemcy sami przeprowadzą na swoją wachę, dadzą kawę i będzie można do rana się u nich zdrzemnąć.

Tymczasem.

Furmanki nas wywiozły gdzieś w pole. – Dalej już idźcie sami. – Machnęli batem kierunek i szybko odjechali z powrotem. Wiaruchna się pozbierała raz dwa i dała drapaka przez pola, myśmy nie byli tacy sprawni. Było nas czworo, mama i trzyletnia siostra którą trzeba było nieść na barana, brat (siedemnastolatek), ja i trochę bagażu.

Ruszyliśmy szparko, ale mimo to odbiliśmy od grupy i... zabłądziliśmy, do tego grudzień więc szybko zmierzchało.

Idąc tak natrafiliśmy na stojącą wolno chałupkę wiejską. Wszedłem tam aby zasięgnąć „języka”.

- Którędy do granicy?

W izbie siedzieli kilka osób, ale żaden się nie poruszył, tylko:

- My nie znamy.

- Jak to, codziennie, co wieczór tędy idą. Nie wiecie w swoich stronach gdzie granica?

- Nie znamy. Co chwilę na koniach jeżdżą Kozaki. My nie chcemy kłopotu.

Ani tak, ani siak. Nic nie przemawia do przestraszonych Białorusinów. Mama, która nie mogła się doczekać końca moich pertraktacji, weszła z siostrą do izby. Na to jedna z babuszek Białorusiek:

- Skażu Wania, oni mają riebionka.

Na takie dictum ruszył się jeden z chłopów, wyprowadził za dom na rolę i pokazał kierunek.

- Trzeba cały czas iść takim skosem do bruzd aż do lasu, a w lesie jak już dalej znajdziecie polankę, to już tamta strona.

Zapadła noc. Na nasze szczęście noc bezksiężycowa. Marsz przez bruzdy nie był łatwy, ale gdzieś po godzinie dobiliśmy do lasu. Przeczekaliśmy w krzaku, bo jakieś człapanie usłyszeliśmy z boku. Jak się uspokoiło my przez las (nie za gęsty) i wreszcie jest pas wyrąbany czy co? Polana. Walimy już mniej trochę mniej skrycie i naraz.

- Wer da? – Patrol niemiecki.

No odetchnęliśmy. Stanęliśmy, oświetlamy się lampką- baterijką, ale co, koło nas takich jak my cały tłumek. Niemcy oświetlają nas swoimi reflektorami i naraz z ich strony:

- Jude! Jude! Zurück (z powrotem).

Rzeczywiście, stoimy wśród kilku rodzin żydowskich. Nie ma co pertraktować. Niemcy ściągają broń i zaczynają strzelać. Cofnęliśmy się aż do bruzd na roli. Leżymy w tych bruzdach. Boję się, że strzelanina spowoduje płacz siostry, ale nic.

- Żydy, idźcie inną stroną. Wy nie przejdziecie i my nie przejdziemy. – Przekonuję.

Coś tam szwargoczą, ale się nie chcą odczepić. Jest północ. Czuję, że niby odchodzą, ale tak aby się nas trzymać.

Wydawało się, że już ich nie ma. Próbowujemy jeszcze raz i sytuacja się powtarza. Na ich: „wer da? „ my stajemy, oświetlają nas. Znowu koło nas Żydzi i znowu:

- Jude! Jude! Zurück.

Widzimy, że z tej beznadziejnej matni nie wyjdziemy. Cofamy się w bruzdy. Strzelanina idzie trochę na ślepo – w bok, ale po polu. Podziwiam siostrę, że nie płacze. To by nas zdradziło i mogło naprowadzić strzelanie na nas.

Wolno, wolno odchodzimy w bok. W tym miejscu nie przejdziemy. Kryjemy się lasem i gdzieś po godzinie próbujemy łukiem oddalić się od tych Żydów.

Jest noc. Księżyc nie ma, ale wychodzą gwiazdy. Gdzieś na polanie siedliśmy odpocząć i wreszcie ruszamy. Jak siadam na odpoczynek, staram się przodem do kierunku marszu. Brat mnie zbija z pantalyku, że nie tam, ale w bok. Godzę się ale patrzę na wielki wóz i łukiem, łukiem wyprowadzam na prawidłowy kierunek. Gdzieś błądzimy. Już nie wiemy, gdzie granica. Naraz nasyp i tory. Wychodzimy na nie i po podkładach, zrywając trochę nogi idziemy środkiem torowiska. Szczęście w nieszczęściu spotykamy grupę ludzi, która idzie w przeciwnym kierunku. I oni do nas:

- Spieszcie się, bo już dnieje. A wy na sowiecką stronę?
- Ale skąd. Na niemiecką.
- To idźcie przeciwnie. Chodźcie z nami.

Odwracamy nasz kierunek o 180 stopni i niby z powrotem, ale już we właściwym kierunku dobijamy nad ranem do stacji w Małkini. A tam, nasze towarzystwo z pociągu od Brześcia. Zaraz, wieczorem nadziali się na Niemców, ci ich tutaj przyprowadzili, dali kawę i na stacji czekają na pociąg do Warszawy.

A my tymczasem całą noc błąkaliśmy się po polu i lesie w takich tarapatach ze strzelaniną.

Za kilka godzin pociągiem osobowym dojeżdżamy do Warszawy. A na drugi dzień byliśmy w Zabierzowie koło Krakowa, gdzie przywitał nas ojciec.

Tak wyrwaliśmy się z łap NKWD.

Spotkałem się z nimi ponownie, ale już w 1945 roku pod Berlinem. Ale o tym – potem.

Okupacja niemiecka

Armia Krajowa



Zeraz po przyjeździe do Krakowa w styczniu 1940 r. spotkałem Edka Mellerę z gimnazjum Towarzystwa Szkoły Średniej V z Gdyni, który mnie zaprzysiął i w ten sposób wstąpiłem do ZWZ /późniejszej AK /.

Z Edkiem w Gdyni byliśmy chyba od 3 klasy gimnazjalnej w harcerstwie, spędzaliśmy wakacje na obozach harcerskich. Znalaliśmy się dobrze i mogliśmy na sobie polegać; obaj byliśmy synami oficerów zawodowych "P. Jego ojciec służył w piechocie a mój w marynarce wojennej.

Z sympatii do morza on przyjął pseudonim "Mewa", a ja aby być w grupie ptaszków "Sęp".

x x x

Między Gdynią w 1939 r. a styczniem 1940 r. w Krakowie była pamiętna kampania wrześniowa 1939 r. Tak się złożyło, że chwila ogłoszenia mobilizacji zastała mnie w Toruniu, gdzie po zgłoszeniu się w referacie wojskowym w ratuszu otrzymałem

przydziel do batalionu PW organizowanego w koszarach 63 pułku piechoty. Z tym toruńskim batalionem PW odbyłem kampanię wrześniową od Torunia do Warszawy poprzez wsi nad Bzurą w rejonie Ruszek oraz w Puszczy Kampinowskiej z przebicciem się do stolicy 21 września. Ranny odłamkiem w nogę w Warszawie pełniłem służbę wartowniczą w ramach kampanii PW przy magazynach na Solcu. Po kapitulacji Warszawy nastąpił podział wojsk odchodzących do niewoli. Ja zgłosiłem się do transportu na nasze wschodnie ziemie. Przesiedziałem w obozach jenieckich w Górze Kalwarii, Mińsku Mazowieckim, Terespolu i Brześciu. Z transportu na wschód w Pińsku uciekłem przez zieloną granicę pod Małkinią wróciłem do Warszawy a następnie do Krakowa.

Jednym słowem znalazłem się w AK krakowskim już jako b. żołnierz z kampanii wrześniowej.

x x x

Pierwsze zadania w grupie "Mewa" sprowadzały się do uczestnictwa w płytkim wywiadzie ulicznym. Bądź co bądź Kraków jako stolica Guberni Generalnej nasycona była instytucjami okupanta. Należało spisywać tabliczki na budynkach zajętych przez urzędy niemieckie, ale także różnego rodzaju znaki, chorągiewki, numery rej. samochodów. Na pozór akcje nieskomplikowane, łatwe, ale o tyle niebezpieczne, że przy sobie miało się notatki z tych obserwacji, a ich sporządzenie nie mogło się rzucać w oczy Niemców.

Pojawiła się prasa podziemna i w związku z tym włączyliśmy się w jej kolportaż. Rok 1940 przeszedł w przeróżnych akcjach związanych ze zbieraniem danych wywiadowczych.

Dzisiaj - gdy to opisuję - sprawa wydaje się prosta. Ale trzeba pamiętać, że Kraków wówczas był ~~niemczyzna~~ nasycony niemczyzną zorganizowaną w przeróżnych organizacjach wojskowych, paramilitarnych, policyjnych i partyjnych, wszystkie wrogo ustosunkowane do Polaków. Toteż te proste czynności wymagały w swym wykonaniu dużo sprytu i jak zawsze szczęścia.

Mnie na początku zaangażowano jako kreślarza, abym sporządził tabele dystynkcji wojskowych. Były to czasy gdy nie śniło się jeszcze o kserografii, a odbitki ozalidowe wykonywało się na papierze wystawianym na działanie słońca.

Ze względu na konspirację trudno mi ocenić jakie były straty nasze z tych akcji. W każdym razie aresztowania były a nasiłiły się w okresie kwiecień - maj 1941 r.

Pracując w biurze pomiarowym województwa krakowskiego /Vermessungswesen für Distrikt Krakau/ miałem dość łatwy dostęp do map uprzednio opracowanych przez Polski Wojskowy Instytut Geograficzny /w latach 1938/, a które władze niemieckie wydawały z dodatkowymi nadrukami jako "Sonderausgabe Nur für Den Dienstgebrauch" /Specjalne wydanie tylko dla użytku służbowego/.

Ponadto w biurze tym aktualizowało się plany katastralne wsi i miast Galicji. Toteż w biurze tym ulokowałem na polecenie Komendy AK pchor. plut. Cygana /chyba z Kawalerii / przesiedlonych Bydgoszczy, a z którym wspólnie wynosiliśmy dodatkowe dodruki tych map. Cygana bardziej interesowały nasze sztabówki, mnie natomiast plany całych rejonów z wojskowymi odbitkami znajdującymi się na terenie Krakowa. Tak uzyskałem plany powiązania dawnego obiektu wojskowego przy ul. Stradom przejściami z budynkami przy ul. J. Dietla oraz /co było dla mnie później ważne/ układ zabudowy wzdłuż plant pod wawelem wzdłuż ul. Straszewskiego od Franciszkańskiej do obiektu seminarium duchownego na Podzamczu. W biurze tym pracował "Iskra" /Władysław Iskierski/, który w ramach grupy wywiadowczej "Jarema" /Jan Kopec/ sporządzał lewe dokumenty wszelkiego rodzaju wg wzorów wystawianych przez władze niemieckie. Z tym właśnie "Iskrą" brałem udział w opracowaniu planów szczegółowych dotyczących obiektów o znaczeniu wojskowym /forty, koszary, itp./

x x x

Pod koniec roku 1941 wszedłem w skład zgrupowania I odcinka Śródmieścia /~~Śródmieście~~ CEMENT/.

W związku z propagandą niemiecką obnoszącą się ze zwycięstwami w Danii, Norwegii i na polach Francji należało zaakceptować naszą obecność.

W kinach wyświetlano kroniki z frontów, gdzie w takt V symfonii van Bethowena "Wszystkie koła muszą się toczyć ku zwycięstwu". Stąd powstał pomysł bojkotu kin, a nie zorientowaną ludność należało zdecydowanie z kin wypłaskać. Tym bardziej, że część zysków Niemcy przeznaczali na tzw. pomoc zimową /Winterhilfe/ dla swych żołnierzy.

Każda grupa miała pod opieką swoje kino, moja drużyna miała nadzór nad kinem "Uciecha" na ulicy Starowiślnej /w czasie PRL - Bohaterów Stalingradu/, położonej między Plantami a tzw. Plantami Dietlowskimi.

Akcje przeprowadzano zwykle na porankach w niedziele. Otrzymywaliśmy koperty, w której była próbówka i jakiś proszek. W kinie siedaliśmy w różnych miejscach na sali i na jakiś szczegół /np. pierwszy pocałunek/ na filmie opuszczaliśmy ~~kopertę~~ kopertę nadeptując butem na próbówkę i kopało się w przód, co przy pochylni widowni dawało ten efekt, że gaz wydobywał się spod krzesła niezorientowanego widza. Należało spokojnie odsiedzieć, aż personel kina wstrzymywał wyświetlanie i otwierał wejścia dla wypuszczenia zagazowanej publiczności.

W akcji tej sprawdzało się opanowanie wykonawcy akcji. Jedni spokojnie wyczekiwali do końca akcji, a inni po nadeptaniu już się zrywali i wywoływali panikę przy tej okazji sami się demaskując.

Zwykle po akcji zbiórka następowała na którejś ławce na Plan-
tach Dietlowskich przede wszystkim aby się policzyć i omówić
błędy w akcji. A zagazowane kino zwykle nie mogło być w tym
dniu czynne, gdyż zapach gazu był dość uporczywy i nie dał się
prędko wywietrzyć.

Oprócz tych akcji zaczynało się szkolenie w zakresie
szkoły strzelce /bez strzelania/. Młodzież licealna miejska
szybko opanowywała początkową wiedzę wojskową tym bardziej, że
wielu przeszło przeszkolenie przysposobienia wojskowego
w przedwojennych szkołach średnich i zawodowych.

✓ Dodatkowo wciąga mnie pchor. "Cygan" do prac kreślarskich
w kancelarii Komendy Miasta na ul. Miodowej. Duże mieszkanie
na parterze na przeciwko narożnika gdzie mieści się synagoga.
Pamiętam jakiś zjazd oficerów z Warszawy i ich wyjazd w rejon
Podkarpacia w związku z koncentracją wojsk niemieckich i cwi-
czenia pod Kolbuszową. Po ich odjeździe do Warszawy przygotowy-
waliśmy plany utworzenia getta Żydów. przez Niemców w Krakowie.
Cygan zakończył z nami pracę w piątek, a w sobotę był atak
gestapo na jego mieszkanie gdzie on palił akta i bronił się
z kolegą. Został ranny i wzięty na Montelupich. Ja dowiedzia-
łem się o tej akcji niemieckiej w poniedziałek idąc do tego
lokalu po pracy i gdzie siedząca na ciemnych schodach kobieta

wyjaśniła mi co tu się dzieło z soboty na niedzielę. Drzwi ostrzelane i oklejone kartkami gestapo. Podobno Niemcy filmowali z synagogi wchodzących i wychodzących.

W kilka dni później dostaję rozkaz wraz z "Mewą" ewakuować część sprzętu z lokalu na Miodowej. Właściwie to on wie co mamy ewakuować. wieczorem, na godzinę przed godziną policyjną weszliśmy do lokalu. Zabraliśmy maszyny walizkowe do pisania i trochę jakiś dokumentów /rękopisy/ i hajda z lokalu wzdłuż Miodowej idziemy do Sterowiślnej. Po przejściu którejś z przecznic słyszemy tupot, ktoś biegnie za nami i woła: Halt! Halt!

- Co robimy, Edek? /bo "Mewie" na imię było Edek/

- Odbezpiecz broń w kieszeni. Będziemy strzelali.

W tej chwili z lewej przebiegli koło mnie jacyś chłopcy a za chwilę dwóch żandermów niemieckich. przeleciało koło nas z całym tupotem ich żanderskich cholew. Po minięciu nas nogi ugięły mi się w kolanach i mówię do "Mewy" - Wiesz nie mogę iść, po prostu wrosłem w chodnik.

- To nic. Taka reakcja.

Chłopcy gdzieś się rozmyli w źle oświetlonych uliczkach dzielnicy Kazimierza. A na przystanku tramwajowym na ul. Starowiślnej w stronę rynku stało tych dwóch żandermów, obok których czekaliśmy teraz ^{na tramwaj} my. Jak gdyby nigdy nic.

Na początku, gdzieś na wiosnę 1942 roku odnalazł mnie
✓ w Krakowie Jurek Tomaszunas zamieszkały wówczas w Warszawie.
Znałem go bardzo dobrze był bowiem - syn gdańskiego lekarza -
moim klasowym kolegą w liceum Tow. Szkoły Sred., a także razem
byliśmy harcerzami w tej samej drużynie, a w 1939 r. odbyliśmy
na Pomorzu przy granicy W.M.Gdańska ćwiczebny obóz szkoleniowy
przysposobienia wojskowego. Wiedzieliśmy oboj, że jesteśmy
zaangażowani w AK. Jego przyjazd do Krakowa łączył się też
z tą organizacją, z tym że nie wiedziałem gdzie chodził i z kim
się kontaktował tak jak i ja nie informowałem go o swojej dzie-
łalności.

Prosił, czy jest możliwe zorganizowanie punktu obserwa-
cyjnego i zbieranie informacji o transportach kolejowych wojsk
niemieckich na szlaku Kraków - Przemyśl. Przy drugiej jego byt-
ności w jakieś półtora wzgl. dwa miesiące później już mu dono-
siłem, że taki punkt informacyjny utworzyłem w Zabierzowie
i że o każdym transporcie wojskowym przechodzącym na wschód
jak i na zachód w dzień i nocy jesteśmy w stanie podawać mu informac-
je. Przyrzekł, że po kontakcie z Warszawą ustali sposoby prze-
kazanie tych informacji dla jego komórki. Spał u mnie. Przyje-
chał tylko na 2 dni do Krakowa ale coś mu nie wychodziło i mu-
siał swój pobyt przedłużyć. W poniedziałek miał wyjechać w po-
łudnie, tymczasem wyznaczono mu spotkanie na wieczór gdzieś

w perku krakowskim. Odprowadziłem go w te okolice nie bardzo zadowolony, bo było to miejsce blisko siedziby gestapo. Ale on liczył na krótkie spotkanie, szybki odjazd tramwajem na stację. Później dowiedziałem się, że został tam zaaresztowany i początkowo przewieziony do więzienia św. Michała a po kilku dniach na Montelupich. I tak zginął naprawdę dzielny chłopak p. chor. "Tomek" Jerzy Tomaszunas, którego ktoś musiał nadać za to - jak się po wojnie dowiedziałem - że pracował dla radiostacji grupy wywiadowczej "Michał", a mnie się wtedy urwał jedyny kontakt z kolegami z Warszawy. ✓

Potem była podchorążówka.

Bogusław Suchcic, "Arab" i ja znaleźliśmy się w XII kompanii Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty od 06.06.1942 r. do 30.06.1943 r. Program szkolenia obejmował taktykę walki na szczeblu kompanii i batalionu /marsz ubezpieczeniowy, postój i zabezpieczenie placówki/ taktykę walk ulicznych, teorię brońni oraz zadania wywiadu wojskowego.

Równocześnie z kursem SPRP pełniliśmy funkcje w pododcinku /kompanii/ odcinka I. Ja byłem d-cą drużyny, zastępcą i d-cą sekcji był "Jerzy" /^{Henryk} ~~Jerzy~~ Schön/. Drugą sekcję prowadził "Arab", a trzecią - "Storczyk" /Stanisław Sterkowicz/. Inną drużyną w tym samym pododcinku dowodził Bogusław Suchcic /którego ojciec

oficer zawodowy siedział w niewoli/ a on z bogatej biblioteki ojca użyczał nam fachowe książki wojskowe. Wykłady były po różnych mieszkaniach, ale ćwiczenia odbywaliśmy w terenie.

Pamiętam, że któregoś dnia na Wzgórzach Sowińca ćwiczyliśmy w terenie typowanie miejsca na placówkę oraz maskowanie itp. i to większą grupą. Na zakończenie siedzieliśmy na górze ponad drogą wiodącą na Wolę Justowską, którą właśnie wtedy szedł niemiecki żołnierz w pełnym oporządzeniu z plecakiem, chlebkiem, hełmem, karabinem, itp. więc my - Panie poruczniku - do instruktora - skoczmy i go rozbroimy.

- Nie wolno. Nie ma rozkazu, a my nie banda lecz wojsko.

I żołnierz z duszą na ramieniu przedefilował przed nami, a myśmy siedzieli i tylko ręce nas swędziały.

W kilka dni później zjawiła mi się rzadka okazja.

Nasz rówieśnik po pierwszym roku podchorążówki rezerwy pochodzący z Łodzi po powrocie z kampanii wrześniowej do domu i po przyłączeniu Łodzi do Reichu poczuł się Niemcem więc go niedługo wcielili do wojska. Po przeszkoleniu we Francji został przeniesiony do Jugosławii. A tam partyzantka i mocno gorąco zrobiło się naszemu koledze. Postanowił w czasie urlopu zwać i z taką propozycją zwrócił się do mnie jego bliski kolega. Otóż ustaliliśmy niech odbędzie urlop u babki w Łodzi, a wracając wstąpi do nas do Krakowa gdzie damy mu papiery i cywilne ubranie ale

mundur i karabin wraz z amunicją jest nędz. I tak zrobiliśmy. Z dworca kolejowego przeprowadziłem go do poczekalni dentysty i tam w mieszkaniu dr Łobodzińskiego nastąpiła wymiana. Mundur przeszedł do schowka w świetliku a karabin wraz z amunicją zawinięty w stary dywan w kościele Mariackim przekazałem oficerowi broni odcinka.

Natomiast niedoszły bohater Wermachtu wstąpił do AK pod pseudonimem "Czarny" i znalazł się w oddziałach „WSOP-u”

Przed egzaminami na podchorążówce przyszedł rozkaz zdobycia broni w określonym sektorze i czasie. Ja wraz z Zygmuntem Kitowskim wyfasowałem Skałki Twardowskiego, do zespołu wzięłem na trzeciego starszego z braci Łobodzińskiego z mojej drużyny.

Pamiętać należy, że akcja miała być przeprowadzona w mieście naszpikowanym wojskiem, policją i żandarmerią, organizacjami niemieckimi paramilitarnymi wśród stałych aresztowan, łapanek ulicznych i terroru.

Sama akcja też stwarzała różne trudności, których przedtem nie braliśmy pod uwagę. Po prostu Niemcy nie chodzili w pojedynkę a tylko takiego można było rozbroić. Raz widzimy z góry, że na polance poniżej siedzi Niemiec z dziewczyną. A więc pomysł - schodzimy z góry na jego wysokość. I jeden z prawa a

pozostali z lewa wkraczamy na polankę. Po zrównaniu z Niemcem wyciągamy pistolety i zmuszamy go do oddania broni. Tak, ale nie wzięliśmy pod uwagę, że patrol żandarmerii obserwował tego Niemca znowu z dołu i niemal sekundę przed nami wkroczył na polankę aby mu sprawdzić dokumenty. Z miną jak gdyby nigdy nic przeszliśmy nonszalancko przez polankę, ale sytuacja dla nas byłaby przegrana gdybyśmy rozpoczęli akcję o minutę wcześniej. Prawdopodobnie nie napisałbym tych wspomnień.

Mijał czas. Akcja nie natrafiała na korzystną dla nas okazję. I nagle, nieomal w ostatnim dniu, w niedzielę na górnym płaskowyżu Skałek Twardowskiego po południu chłopcy grali w piłkę nożną, a tyłem do nich w narożu siedziała w słońcu para - żołnierz niemiecki i dziewczyna. Niby kibice przyglądaliśmy się grze chłopców, a w momentach gdy piłka leciała w naszą stronę, cofaliśmy się jak najbardziej naturalnie ale w stronę tej pary. Gdyśmy już byli blisko, wyciągnęliśmy rewolwery - uprzednio odbezpieczone - i otoczyliśmy zakochaną parę. Grejący w piłkę chłopcy gdy to zobaczyli z miejsca prysnęli ze wzgórza. Żołnierz w pierwszej chwili nie zorientował się w sytuacji. W odwróconej czapce miał zwinięty pas wraz z rewolwerem w kaburze. W ten sposób zabezpieczał broń przed zaplaszczaniem.

Zygmunt Kitowski trzymał pod lufą Niemca, Łobodziński pilnował dziewczyny a ja zabrałem pas i broń. Wtedy kazaliśmy się im rozebrać aby goli nie mogli za nami gonić. Niemiec miał na kołnierzu odznaki SS i mówił po czesku. Prosił by mu zostawić buty, że one są jego prywatną własnością ale my twardo - wszystko zdjąć. Jego i jej ubranie zwinęliśmy w tobołek i zrzuciliśmy ze skały na rosnące w połowie skały krzaki. W ten sposób nie mogli ich odzyskać ani od góry oni z dołu. I w ten sposób myśmy stali się bezpieczni i spokojnie mogliśmy zejść ze wzgórza i przepłynąć łodzią przez Wisłę na Salvador. Zygmunt Kitowski przekazał zdobytą broń oficerowi broni odcinka I-go.

W kilka dni później podczas odprawy na plantach złożył nam gratulacje d-ca odcinka, ale miał pretensje, żeśmy Niemca nie zastrzelili, gdy zobaczyliśmy u niego odznaki SS.

/Prawdopodobnie był to żołnierz z odziałów dywizji "Totenkopf", która z gmachu Muzeum Narodowego przy ul. Z.Krasińskiego na Małych Błoniach zrobiła swoje koszary./

Potem były egzaminy na podchorążówce w mieszkaniach na ul. Sw. Tomaszę u łączniczki pani Gruszeckiej i na ul. Długiej u Zygmunta Kitowskiego oraz awans na plutonowego podchorążego rez. piechoty ze starszeństwem od 1.XII.1943 r.

30 października 1943 r. w naszym mieszkaniu gestapo
założyło kocioł chcąc aresztować ojca /był d-cą ^{wrosłkoła} Służby Ochrony
Powstańców SOP-AK/ i chyba nas dwóch synów. Byliśmy jednak przez
rodaków zawiadomieni. Mama wraz z młodszym moim bratem i 5-let-
nią siostrą została przez rodzinę doc. Kucharskiego odwieziona
do Siedlec do rodziny mamy.

Ojciec jakiś czas ukrywał się na Kazimierzu - a po
otrzymaniu Kennkarty z AK na nazwisko "Stefan Król" oraz ja,
który wtedy uzyskałem dokumenty jako "Stanisław Warmiński"
wyjechaliśmy do Warszawy. Tutaj kilka dni ukrywaliśmy się u bos-
mana z flotyli pińskiej mar. woj. w Legionowie, a następnie
znaleźliśmy się obaj w Rembertowie.

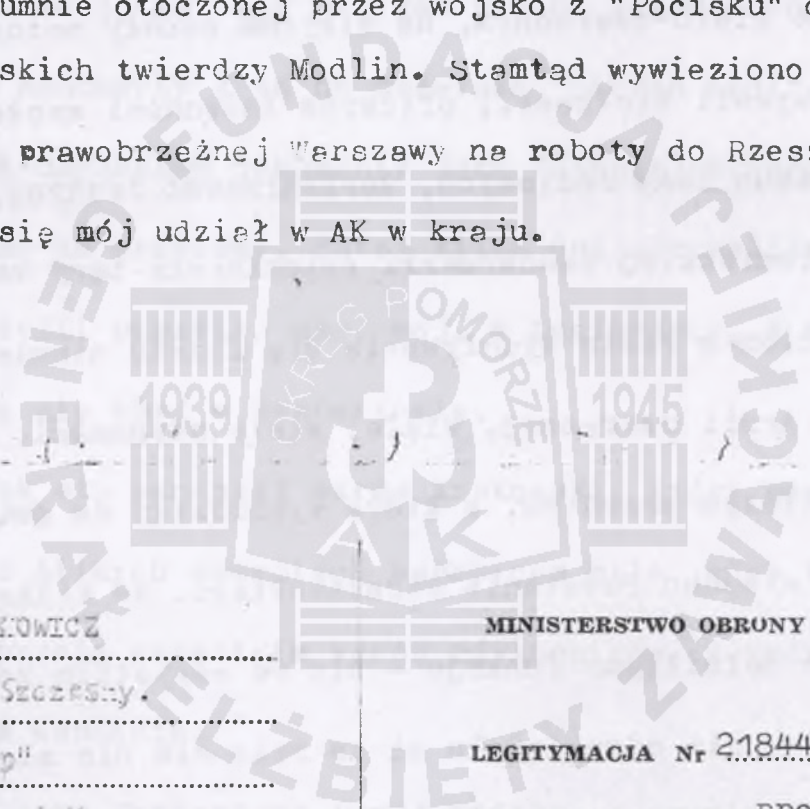
Tak się skończył okres krakowski, który ~~nam~~ mimo
epizodów o silnych akcentach wspominam mile, gdyż tam znajdo-
wałem się przede wszystkim wśród rówieśników, z którymi je
przeżywałem wspólnie.

Okres Rembertowa trwał krótko. W szkole powszechnej
na nowym Rembertowie znalazłem się w oddziale kpt. Sosnowskiego
/kier. tej szkoły/, który pełnił funkcje intendenta - kwater-
mistrza grupy rembertowskiej. Przy nim zacząłem widzieć, że ten
ruch oporu musi mieć wszelkiego rodzaju zaplecze zaopatrzeniowe.

Grupa Rembertów obejmowała swoją działalnością Miłosną i Sulejówkę. W sztabie Sosnowskiego nie widziałem jakiegoś podziału funkcji, a to z tego względu, że sam dowódca był "Zosia-samosia". Tłumaczę to w dużym stopniu tak jego zdolnościami organizacyjnymi, że mógł to wszystko sam objąć jak i w dużej mierze względami konspiracji. W skrzyniach miał spakowane opaski na rękawy w kolorze biało-czerwonym, na strychu szkoły natomiast masarze przygotowywali kiełbasy.; oficerom łączności wypłacał pieniądze na zakup lamp radiowych, zorganizował drużynę, która w mundurach niemieckiej żandarmerii patrolowała torw kolejowe przed zniszczeniem w razie wycofywania się frontu niemieckiego przed ofensywą Armii Czerwonej. Wiele, wiele czynności, o których nie wiedziałem przedtem, a które wychodziły na światło dzienne z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego. Na kilku przy nim właściwie pełniliśmy funkcje - nie we wszystkim zorientowanych adiutantów. Nie odpowiadała mi ta rola ale nie miałem innego kontaktu, a z drugiej strony hamował nasze zapędy bojąc się dekonspiracji. Włączył mnie do tajnego nauczania. Z chwilą wybuchu Powstania w Warszawie, zostaliśmy przez niego zmobilizowani, a siedzibę swego oddziału ustanowił w filii szkoły bliżej dworca kolejowego. Blisko tydzień sytuacja nasza była jak w nasie niczym. Wojsko niemieckie - frontowe oddziały znalazły się na

4/1/54

wschodnich granicach miasteczka /artyleria na cmenterzu/,
 a miasteczko było jakoby w jego zaopatrzeniowej dyspozycji.
 I naraz 6 czy 7 sierpnia 1944 r. wkroczył do naszego lokalu
 niemiecki patrol wojskowy, który nas aresztował i odstawił na
 teren fabryki "Pocisk" gdzie skoncentrowano tam wszystkich
 mężczyzn Rembertowa. Na drugi dzień około 5 rano wyprowadzono
 nas w kolumnie otoczonej przez wojsko z "Pocisku" do fortów
 zakromczymskich twierdzy Modlin. Stamtąd wywieziono nas wraz z
 ludnością prawobrzeżnej Warszawy na roboty do Rzeszy. I tak
 zakończył się mój udział w AK w kraju.



Nazwisko SIERKOWICZ
 Imię Jerzy. Szczesny.
 Pseudonim "Sep"
 Przydział Oddz. A.K.
Obw. Kraków.

Odnaczony został
KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ
 ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku
 przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-
 Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku
 żołnierza Polskiej Podziemnej w latach
 1939 — 1945.

Podpis: *[Signature]*

Londyn, dnia

NR 17762

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA Nr 21844

Stopień imię, nazwisko ppor.

SIERKOWICZ JERZY SZCZESNY
ps. "SEP"

Oddział AK

Odnaczony został
 po raz 1, 2 3
Medalem Wojska

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu
 Głównego
 z dnia 1 lipca 1944

Londyn dnia 15 sierpnia 1948 r.



Schemat organizacyjny Grupy Wywiadu Odcinka I "Cement"

Dowódca Grupy: "mewa" - Edward Meller

Kryptonimy stosowane w korespondencji na zewnątrz:

"I/16a-Wyw.", "A/a-I.Wyw.", "2/IV-a-Wyw."

Kryptonimy stosowane w korespondencji wewnątrz Odcinka: "000"

Zespół wywodzący się z Grupy "mewa"
Komendy Obwodu ZWZ Kraków-miasto,
rozszerzony w latach 1942-1943:

Siatka wywiadu w oddziałach
wchodzących w skład Odcinka I
od 1.I.1944:

Kryptonim-pseudonim-nazwisko:

Kryptonim-pseudonim-nazwisko:

001	"Prus"-Stanisław Glogier	100	"Szreniawa" Stanisław Liekowski /do IX/1944/, potem
002	"Gazda" Wincenty Barczak		"Rokita"-Mieczysław Stanecki (o/g)
003	"Barbara"-Teofila Meller		"Lech"- N.N.
004	"Sep"-Jerzy Sterkowicz		"Kłosa"-Tadeusz Kurowski
005	✓ "Meduza"-Aldona Gruszecka	110	"Kapral"-Rejduch
006	"Znicz"-Tadeusz Gorycki	120	"Jemiola"-Zbigniew Śniego
007	"Gienek"-N.N.	130	"Pik"-Edmund Kosowski
008	"Profesor"-Adolf Szyszko-Bohusz	140	"Moskal", N.N.
009	"Mały"-Zygmunt Walczak	200	"Dół", - N.N.
010	✓ "Danuta"-Danuta Mieso	201	"Leszko"- N.N.
011	"Gran"-Anatol Kopeć	210	"Cesiek"-N.N.
012	"Sokół"-Adam Kościuk	220	"Warta"-Stanisław Terlecki
013	"Karl"-Austriacki żołnierz LW	230	"Topola"-Zbigniew Gajewski
014	"Szary"-Julian Pietrzyk	300	"Lubomier"-N.N.
015	"Słowy"-Zyzyński	301	"Mucha"-N.N.
016	"Jerzy"-Henryk Schoen	310	"Antek"-N.N.
017	"Marek"-Andrzej Wielanowski	320	"Szeruda", N.N.
018	"Rafał"-lotnik niemiecki	330	"Hiszpan"-N.N.
019	"Rokita"-Mieczysław Stanecki	400	"Belfor", N.N.
020	✓ "Hanka"-Hanna Wielanowska	401	"Waligóra"-N.N.
021	"Przemysław"-Mieczysław Haupt	410	"Eme"-Marian Bogusz
022	"Ludwik"-N.N.	420	"Brzost"- N.N.
023	"Kogut"-N.N.	500	"Orzeł"- N.N.
024	✓ "Iwonka"-Danuta Nizańska	510	"Tońko" - N.N.
025	"Seifert" -N.N.	520	"Józefowicz-Senior"- N.N.
026	"Buła"-Franciszek Szczur	600	brak danych
		700	brak danych
		800	brak danych
		900	brak danych

Funkty kontaktowe:

ul. Tomusza 20 - obsługa: 005

ul. Gertrudy 7 - obsługa: 000

ul. Floriańska 26 - kancelaria główna Odcinka "Cement"

ul. Smoleńsk 30 - obsługa: 001

ul. Kalwaryjska 6 - obsługa: 020



KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION

240, KING STREET, LONDON, W6 0RF

L. dz.6729/77

13 wrzesień 1977

Our ref.

ZASWIADCZENIE WERYFIKACYJNE

/Wyciąg z akt personalnych/

STERKOWICZ Jerzy, Szczęsny, ur. 21.VI.1921 w Modlinie.
Syn Stefana i Stefanii.

Podporucznik A.K.

Ps.: "Sęp" - "Stanisław Warmiński".

Przydział: Kraków.

Odbył służbę wojskową w szeregach Z.W.Z. A.K.

Przebieg służby:

I.1940- VI.1942-

Zaprzysiężony w Krakowie.

Przydzielony do Oddziału Śródmieście.

Praca w komórce wywiadowczej "Mewa".

VI.1942- VI.1943-

Ukończył kurs Podchorążych A.K.

VI.1943- X.1943-

Przydzielony do Oddziału "Żelbet"-
Kraków-Śródmieście.

X.1943- VIII.1944-

Zagrożony przez Gestapo - przeniesiony
do Warszawy.

Przydzielony do Oddziału Rembertów.

VIII.1944- IV.1945-

Czynny udział w Akcji "Burza" na
terenie Rembertowa.

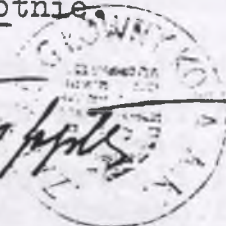
Aresztowany przez Niemców - wywieziony
do obozu pracy pod Berlinem. W obozie
organizuje grupę oporu "Przedświt".

Odznaczony: Krzyżem A.K.

Medalem Wojska 4-krotnie.

Za zgodność:

GŁÓWNA KOMISJA WERYFIKACYJNA A.K.



Mój sierpień 1944 roku.

Aby uniknąć aresztowania przez gestapo w Krakowie musiałem nie tylko zmienić nazwisko ale i miejsce zamieszkania. Z tych względów znalazłem się w grudniu 1943 roku w Rembertowie jako nauczyciel w szkole powszechnej, a potem włączony do tajnego nauczania. Oczywiście też się stało, że znalazłem się w szeregach Armii Krajowej pod komendą kierownika tej szkoły mgr Sosnowskiego, którego nazywaliśmy "Kapitanem".

Z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego, w Rembertowie oddziały Armii Krajowej zostały zmobilizowane, nazwijmy były w pogotowiu, tyle, że nie zbrojnym, bo brakowało broni. Oficer broni obwodu złożył na zbiórce komendy w szkole na terenie nowego Rembertowa mniej niż ćwierć worka jakiś środków detonujących w kącie pokoju, zapalił papierosa i powiedział: "To jest wszystko". Łączność za pomocą radia odbywała się tylko w jedną stronę, myśmy mogli otrzymywać rozkazy, lecz meldunków o sytuacji w terenie nie mogliśmy nadawać do Warszawy, bo brakowało jakiegось lampy radiowej w nadajniku.

"Kapitan" zebrał nas kilkoro i wyniósł się z budynku szkoły do budynku filii bliżej stacji, mówiąc, że obwód jest zdekoncentrowany. W skład jego wchodziły sąsiednie do Rembertowa miejscowości, które znalazły się bądź to w linii frontu niemiecko-sowieckiego /Grzybowa, Str. Miłosna, Groszówka/, bądź już w strefie opanowanej przez wojska radzieckie /Wesoła, Sulejówek/. Obsada samego Rembertowa to może 2 do 4 plutonów, które znalazły się w jakiegось militarnej równowadze chwiejnej. Władze okupacyjne przed wybuchem Powstania Warszawskiego wewakuowały się w końcu lipca 1944 r, a miasteczko bez boju znalazło się w rękach naszych.

Służba pomocnicza AK będąca pod komendą "Kapitana" oganowała na tyle magazyny żywnościowe, że zaczęła wydawać polecenia wydawania przede wszystkim po kilka razy po 2 kg cukru na osobę. Ponadto wystawiła patrole na torach kolejowych /w mundurach żandarmerii niemieckiej/ dla zabezpieczenia ich przed cofającymi wojskami niemieckimi, które przy pomocy specjalnej maszyny, niszczyły podkłady kolejowe. Wyniki tych działań nie są mi bliżej znane, gdyż zostaliśmy 5 sierpnia zniemacka przez patrole niemieckiego wojska zaaresztowani.

W POŁOWIE LIPCA 1944 ROZPOCZĘŁA SIĘ NA FRONCIE WSCHODNIM OFENSYWA ARMII RADZIECKIEJ, KTÓRA NA PRZEDPOLU REMBERTOWA - TUŻ PRZED WYBUCHEM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO - ZAJĘŁA MIĘDZY-LESIE NA POŁUDNIU, A OD STRONY WSCHODNIEJ STARĄ MIEŚCINĄ, WEJŚCIĄ WRAZ Z SOLEJÓWKIEM I OD PÓŁNOCY OSIĘDLA TURÓW Z OSSOWĄ. W REJONIE WOLEMINA I RADZYMINA TOCZYŁA SIĘ WÓWCZAS BITWA KORPUŚÓW PANCERNYCH OBU WOJUJĄCYCH ZE SOBĄ WOJSK, W KTÓREJ SUKCES MILITARNY ODNOSIŁA STRONA NIEMIECKA. W SAMYM REMBERTOWIE, CHRONIĄC SIĘ W ZIELENI DRZEW I KRZEWÓW CHENTARZA, STAŁA ARTYLERIA NIEMIECKA, A PRZED NIĄ WOJSKA FRONTOWE ZWRÓCONE W STRONĘ GRZYBOWEJ I ZIELONEJ. SZTAB TYCH WOJSK ZAJĄŁ OPUSZCZONY PRZEZ NAS, BUDYNEK SZKOLNY NA NOWYM REMBERTOWIE, W KTÓRYM NA STRYCHU MIĘŚCIEŁY SIĘ UPRIEDNIO PRZYGOTOWANE ZAPASY ŻYWNOCIOWE NASZEGO ZGRUPOWANIA AK.

Nam w tej sytuacji o walce zbrojnej nie było co marzyć nie tyle z uwagi na dysproporcje sił co przede wszystkim ze względu na brak broni.

Stan taki trwał do 5-6 sierpnia 1944 roku. Wojskowe władze niemieckie postanowiły z tego terenu wyewakuować całą ludność męską, będącą w strefie przyfrontowej po prawej stronie Wisły. Wykorzystując nasz stan nieagresji patrolami wojskowymi uzbrojonymi po zęby aresztowały nas przy całkowitym zaskoczeniu i odniewadziły do obozu zorganizowanego na terenie fabryki "Pocisk".

Następnego dnia już o godz. 4⁰⁰ rano pod eskortą wojska ruszyliśmy w długi, nieprzerwany ok. 50-cio kilometrowy marsz. Droga wiodła z Rembertowa przez Ząbki, Warszawę-Bródno, Tarchomin do Jabłonną. Nad lewobrzeżną Warszawę widać było ścianę dymu i pożary. Za Jabłonną czekały na nas na brzegu Wisły pod parą statki rzeczne jako promy. Prosto z marszu wchodziliśmy na nie, a po przepłynięciu przez nie, bez żadnego postoju kontynuowaliśmy dalej marsz przez Łomną i Kazuń, mosty drogowe w Nowym Dworze na Wiśle i Narwi. Sądziliśmy, że prowadzą nas do twierdzy Modlin, tymczasem przeszliśmy Nowy Dwór Mazowiecki, Pomiechówek i doszliśmy do fortów zakroczymskich od strony cegielni. Było to już po północy, a my popędzani, zmęczani, ostatnie już metry szliśmy niemal na kolanach.

Okazuje się, że obóz był zorganizowany w głębokim wykopie, którego pionowe ściany tworzyły zabudowania fortu, a samo zejście do niego zagradzały podwójne zasieki z drutu kolczastego. Warunki bytu były prymitywne; nie wystarczająca ilość wody, narażeni byliśmy i na palące słońce i na opady deszczu, spaliśmy na ziemi.

Okoliczna ludność wiejska wzięła na siebie nasze wyżywienie. "Nie bierzcie nic od Szwabów, a jak przyjdą Ruskie to wybija nam bydło i drób". Tak nam opowiadali ci, którzy w furmankach przywozili w beczkach zupy a w workach chleb. Tego ostatniego wystarczało nam na tyle, że na słońcu suszyliśmy kromki na suchary, które ratowały nas później przed głodem w obozach w Niemczech.

1/1/60

Normalną rzeczą każdego z nas była myśl ucieczki lecz warunki techniczne samego miejsca pobytu nam nie sprzyjały. Wysokie na dwie kondygnacje ściany fortu wkopanego ~~szereko~~ w głęboko szeroko przestrzenny wykop, a poza nim odkryty, nie dający schronienia teren. Możliwość taką można było zba-
dać na wymarszu od czasu do czasu małych grup z obozu pod eskortą żandarmerii niemieckiej, z którego nie wszyscy wracali.

Pewnego dnia Niemcy wygarniali taką grupę, składającą się z 15 do 20 jeńców, w której znalazłem się wraz z bratem i prowadzili w stronę bodajże wsi Strubiny. Po ok. 5-ciu km marszu zaprowadzono na cmentarz gdzie w kilku szeregach były usypane świeże mogiły oraz przy pomocy sznurków i kołków usytuowane miejsca na nowe groby. Tam każdy otrzymał taki przydział wraz z łopatą i musiał kopać na głębokość 2 metrów. Atmosfera takiego kopania była zbyt wyraźna. My bezbronni oraz uzbrojeni Niemcy. Kopanie nie stwarzało specjalnych trudności, no prostu piaski, które nie umożliwiały przeciągania procesu tej pracy. Po wykopaniu takiego dołu Feldwebel niemiecki sprawdził głębokość, dał po papierosie i każdy miał stać tak przy swoim dole. Za chwilę nadjechało kilka samochodów krytych plandekami, z pod których wysypała się grupa uzbrojonych żołnierzy niemieckich. Wtedy sobie pomyślałem - Acha. To ci stanowią pluton egzekucyjny.

Tymczasem z samochodów powyjmowano masę zapakowanych w worki zwłok / niektóre pokrwawione/ - okazuje się - ze szpitala polowego zmarłych żołnierzy niemieckich z Powstania Warszawskiego - i powkładali do wykopanych przez nas grobów. W nogach zwłok powstawiano butelki zalakowane z dokumentami tożsamości denatów. Samochody z miejsca odjechały a nam kazano utworzyć uformowane przez trapezową skrzynię groby. W marszu powrotnym

ktos kto miał przygotowane miejsca ukrycia mógł uciec. Tak chyba z naszego obozu uciekł w pierwszych dniach "kapitan" Sosnowski.

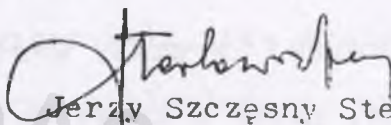
Zacząłem przygotowywać się - przy następnym takim grzebaniu Niemców - do ucieczki. Niestety po kilku dniach wyprowadzono nas na stację Modlin i tam załadowano nas w wagony pułmowskie, które wraz z nami opuściły kraj. W ten sposób ludność z prawostronnej Warszawy wysłana została na roboty przymusowe w Berlinie, gdzie z kolei dostaliśmy się pod naloty bombowe lotnictwa alianckiego.

Los tych, którym udało się uciec z obozu z Fortu Zakłoczyskiego nie był do pozazdroszczenia. Młodzież akowska w wieku poborowym została wcielona później do Wojska Polskiego I Dywizji Kościuszkowskiej, wielu z nich zginęło przy przełamaniu Wału Pomorskiego w rejonie Wałcza. Jak się później dowiedziałem kpt. Sosnowskiego - od Rembertowianina prof. dr A. Zehorskiego - został aresztowany przez NKWD, wywieziony na Sybir i do Polski wrócił po roku 1950.

Dla pamięci potomnych podam, że ludność Pragi i okolic wschodniej części stolicy została wywieziona na roboty przymusowe, przechodziła przez obóz przejściowy w Pile /Durchgangslager- Schneidemühl/, a następnie w obozie pracy /Arbeitsamtlager Berlin- Erkner/. Tutaj następowało rozdzielanie części jeńców do robót w zagłębiu Rury, a pozostałych do pracy w Berlinie. Ci ostatni przechodzili przez obóz rozdzielczych Kolgi niemieckiej w Wilhelmshagen a stąd już kierowano do obozów pracy w kolejnictwie, które mieściły się

w Berlinie - Grunewaldzie, w centrum stolicy, przy Schliffen-
ufer /obóz kobiet z^{W-ny} Pragi/ oraz w osiedlach na obwodzie Berli-
na w Köpenick i Karowie. Nie wykluczone, że mogło być tych
obozów więcej ale miałem ograniczone wtedy możliwości rozezna-
nia ich lokalizacji.

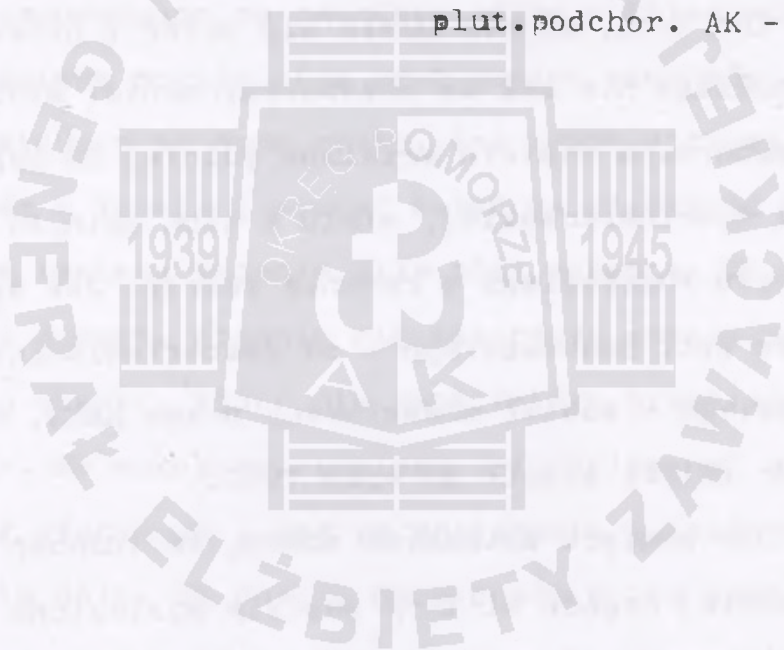
Nie wykluczam, że po tym artykule odezwą się współ-
uczestnicy tych przeżyć i będą mogli te wspomnienia jeszcze
uzupełnić.



Jerzy Szczęsny Sterkowicz

"Stanisław Warmiński"

plut. podchor. AK - Sęp.



W OBOZACH PRACY W NIEMCZECH

- W OBOZACH PRACY W NIEMCZECH

- POWRÓT DO KRAJU



... A na chmury kłębiące, czarne ciemne i mgliste
patrzy z drwiącym uśmiechem człowiek, szatan i Bóg

W OBOZACH PRACY W NIEMCZECH

1944-45

Z Fortu Zakroczymskiego zagłębionego w terenie, w połowie sierpnia wprowadzono nas na stację kolejową w Modlinie. Siedziałem na pochyłym stoku na przeciwko dworca kolejowego, na którym widniał napis MODLIN. Dla mnie to było przeżycie, to była nazwa jaką mam wpisaną do metryki chrztu, gdyż urodziłem się w Twierdzy Modlin i teraz po 23 latach miałem możliwość oglądać po raz pierwszy (i chyba ostatni) stację w Modlinie.

Do wywozu nas do Rzeszy Niemieckiej podstawiono Pulmany, gdyż równocześnie ewakuowano z tych terenów Polski tabor kolejowy. Z uwagi na Powstanie Warszawskie pociąg okrężną drogą przez Nasielsk jechał do Niemiec. Po niewygodach przebywania przez tak długi okres na klepisku Fortu, wygoda rozklejała nas i przysposabiała do snu. Ktoś po północy krzyknął - mijamy dawną granicę naszego Państwa, ale zmęczenie robiło swoje. Spałem jak suseł.

Nad ranem wyładowano nas w Schneidemühl (Piła). Tu całą kolumnę środkiem jezdni prowadzono do obozu. Idąca do pracy (a może i do szkół) młodzież czym tam mogła obrzucała nas kamieniami, rudami błota i wznosiła przeciwko nam nieprzyjemne okrzyki.

Obóz w Pile składał się z wielu czworoboków wygradzonych od innych siatką. Taki czworobok miał po bokach 3 baraki a na czwartym ubikacje. Tutaj dokonywano odwszalni ubrań i bielizny oraz obdukcji nas w łaźni i po tym przeprowadzano nas do innego boksu. Pobyt tutaj trwał potem dwa dni i stąd już wagonami towarowymi wywieziono do lesistego obozu w Berlinie-Erkner.

Uprzednio był to obóz dla jeńców alianckich głównie Anglików. Na skutek bombardowań stolicy Rzeszy przeniesiono tutaj Urząd Pracy z Berlina, a jeńców ewakuowano gdzie indziej. Na rampie przed obozem stało kilka składów, z których jak i my wysypywali się zwiezieni do pracy przymusowej jeńcy.

Pierwszy dzień komfort jeszcze po Anglikach. Pamiętam - stołówka mieściła się w wysokim hangarze zbudowanym jakby z drewnianych łuków. Stoliki nakryte białym płótnem. Ale to trwało tylko jeden dzień; jak się zorientowano, że to są zwiezieni robotnicy komfort znikną-, a my aby otrzymać zupę z okienka musieliśmy mieć już jakieś miski często z puszek od konserw znajdujących na śmietniku.

Tutaj znowu łaźnia, fotografia i wystawienie nam Arbeitsbuchu für Ausländer. Ale i tutaj nie zagraliśmy długo miejsca, po prostu urząd pracy. Stąd dano nam przydział do obozu w Wilhelmshagen. Początkowo myślałem, że Wilhelmshagen - ten port niemieckiej marynarki wojennej, ale okazało się, że był on na południu Berlina (od granic miasta jakieś 10-15 km) spełniających rolę przejściowego obozu kolei niemieckiej. Stąd skierowano nas do obozu kolei Rzeszy w Berlinie-Grunewaldzie. Okolica lesista. Obóz niewielki jakieś 8 baraków blaszanych w dwóch rzędach usytuowany wzdłuż torów kolejowych przy stacji BLN-Grunewald. Po drugiej stronie nasypu kolejowego znajdował się obór Holendrów. W czasie nalotów bombowców spotykaliśmy się w pasażu pod torami na tej stacji.

Tu w Grunewaldzie ustawiano nas w dwuszeregu, a różnicy bosy jednostek organizacyjnych kolei - jak na targu niewolników - wybierali ludzi do roboty.

W ten sposób 21 września 1944 znalazłem się w Bahnmeisterej 60 (ministerstwo odcinków drogowych) Stettinger Bahnhof. Jako pomocniczy robotnik (Hilfsarbeiter).

Tę całą drogę po przez obozu z Rembertowa aż do Grunewaldu odbyłem razem z bratem Stanisławem, którego ~~chowającego się~~ w kręgach betonowych w Rembertowie aresztował Wehrmacht. Ten - jako technik chemik - dostał przydział do laboratorium parowozowni na Anhalter Bf. Brat nosił nasze rodowe nazwisko, ja natomiast miałem zmienione nazwisko na Stanisław Warmiński i figurowałem jako technik budowlany.

Na stacji Stettiner - biura Bahnmeisterej mieściły się w lewym skrzydle budynku, a znajdowałem się w ostatnim pokoju, gdzie oprócz mnie miał stół zegarmistrz z Warszawy Adam Waga i Ukrainka nauczycielka z Kijowa Sokolskaja,

jako tłumaczka do ludów ze Wschodu, bowiem na torach pracowali oprócz Polaków, Ukraińców i Rosjan również Uzbeki, Kazaki i Kirgizi.

Brat dodatkowo pełnił funkcje tłumacza języka niemieckiego. Tam w laboratorium miał dostęp do maszyny do pisania, toteż postanowił wydawać jednokartkowy biuletyn - taką najmniejszą gazetkę świata - po tytułowy „Przedświt”. Wiadomości zbierał od współwięźniów, którzy pracowali w różnych węzłach kolei berlińskiej. Hitler wówczas wygrażał światu, że ma nową broń, tymczasem na wagonach wiozących rezerwistów na front pojawiały się napisy w rodzaju „HITLER DU ALTE AFFE - WIRT SIND DIE NEUE WAFFE”. On to skrzętnie umieszczał w gazetce, a rozprowadzał ją w ten sposób, że podkładał pod koc na legowiskach. Więcej nie mógł tego wydrukować jak pięć egzemplarzy, bo tyle po prostu przez kalkę dało się napisać na maszynie kopii.

W pierwszym baraku po lewej stronie od wejścia zgromadziła się tam grupa starszych inteligentów trochę oblatana w naszych stosunkach partyjnych przedwojennych. Z nimi wiódł jakieś dysputy, a oni czuli się coś w rodzaju sejmiku. Niemców po pewnym okresie zaczęło interesować co on tak dużo ma do pisania na maszynie, pod pretekstem jakimś wysłali go po próbki wody, a sami jeden egzemplarz z kalką wykręcili z maszyny i oddali na Gestapo. Stach natomiast nie miał pewności czy miał 4 kalki czy pięć, bo ilość odbitek i kalek zgadzała się a nie przypuszczał, że ktoś mógł wykręcić tekst z maszyny.

Na początku grudnia wieczorem w obozie zawezwali go do komendanta obozu jako tłumacza i tam go aresztowali. Ktoś kto był tam trochę później u komendanta, powiedział że Stach stoi pod ścianą z rękami do góry.

Ja tymczasem byłem pomocnikiem inspektora zabezpieczenia obiektów przed bombardowaniem (Ober Bahn-Bauinspektor) prawie Siedemdziesięć kilku letniego zmobilizowanego przedsiębiorcę budowlanego spod Monachium, z którym chodziłem na tzw. „place budów”. Jakies pokoje w których stemplowało się słupkami drewnianymi, stropy budynków na ogół stojących nad torami kolejki podziemnej. Przy pewnej życzliwości z jego strony, ośmieliłem się go prosić o interwencje w sprawie brata, tłumacząc mu, że dla tego mamy różne nazwiska, że mama wyszła

drugi raz za męż. On (miał w klapie złotą odznakę NSDAP) nie chciał o niczym wiedzieć i zastrzegał się, że w politykę się w ogóle jako technik nie miesza. Jednakże w kilka dni później wszedł do pokoju i do mnie

- Stani, komm!

Poszedłem za nim, a on w drodze na taki plac budowy mi tłumaczy, że mój brak popełnił dumchajt (głupstwo), że jako niepełnoletni dostanie obóz koncentracyjny.

Od Sokolskaji, która miała jakieś konszachty z kucharzem z obozu z Wilhelmshagen, wyhandlowałem za 2 bochenki chleba, za butelkę alkoholu, i poniosłem je do obozu karnego (Staflager), w którym miał przebywać Stach, ale się okazało, że w przeddzień wywieziono go do obozu do Hamburga.

A alkohol. W paczkarni na stacji Stettiner pracowało kilku naszych z obozu i z paczek podkradali głównie tytoń i alkohol. Ponieważ przy wyjściu po pracy byli rewidowani to jak widzieli, że ja jestem w pokoju, stukali w okno i przez nie podawali mi „dary”, które mogłem przez główny hall dworca na który wychodziły drzwi z Bahnmeisterej wynosić na zewnątrz i z tego tytułu otrzymywałem swoją dozę.

Na święta Bożego Narodzenia nasi na torach wywączali cysterny ze spirytusem. Wtedy wieczorem z wiaderkami podkradali się pod te cysterny i przynosili do szuby bądź to spirytus denaturowany bądź bezbarwny - drzewny. Na naszą szubę przypadł denaturat, do którego wkroiliśmy z paczki dwa jabłka i gotowaliśmy dla pozbycia się zapachu na naszym żelaznym piecyku „kozie”. Potem wypiliśmy jak nas tam było 20-30 ludzi a i jabłka zjedli choć w nie wszedł cały ten smak denaturowy. Natomiast na innych szubach zaczęła się tragedia. Po północy ludzie ślepli a co niektórzy umierali. Była co prawda w obozie izba chorych i zaraz się znalazł jakiś stary lekarz rosyjski, który zażądał mleka, ale mleka nie było, a chorych i ślepych wywozili gdzieś z miejsca z obozu.

Już po aresztowaniu brata, ta grupa z pierwszego baraku zażądała ode mnie bym pojechał do obozu w Köpenik w którąś niedzielę i miał tam coś w rodzaju odprawy wojskowej w ramach akcji „Przedświt”. Rzeczywiście była tam grupa ludzi w wieku 30-40 lat około 15 osób. Odśpiewaliśmy za obozem na polu hymn i rotę. Potem palnąłem mówkę w stylu, że już „bliżej jak dalej”. Ludzie silnie przeżywali

wieść o upadku Powstania w Warszawie, gdyż pochodzili głównie z Pragi, Bródno i częściowo z Legionowa. W drodze powrotnej złapał mnie na Ost Kreuzu nalot bombowców amerykańskich. Prawie pół dnia przeleżałem pod płotem, który mnie chronił przed rozrywającą się amunicją z wagonów stojących na torach po drugiej stronie płotu.

Niemcy nie byli chyba zadowoleni z Reichsbahnlager Ber-Grünwald-Waldhaus może czuli tu zawiązaną jakąś konspirację, a może wypadki ze spirytusem drzewnym, dość w końcu grudnia obóz rozwiązali i przenieśli nas do różnych innych obozów. Na kilku chłopaków przenieśli do Gemeinschaftslager w centrum Berlina w dawnych barakach Atalie UFA - przy Schlieffenufer 44. Trochę z tyłu i z boku wypalonego budynku parlamentu. To na nasze nieszczęście był kobiecy obóz warszawianek prawego brzegu Wisła w najprzeróżniejszym wieku. Jeden baraczek jako ubikacja z otworami w podłodze bez żadnych przegrodzeń, no wprost makabra. Porozbierane kobiety tłukły wszy niektóre miały dzieci przy sobie. Hałas i tumult. Od strony terenów zalewowych rzeki za siatką ogrodzenia chodziły pawie, które się darły przeraźliwie i dniem i nocą.

W berlińskich obozach dokuczał nam głód i alianckie naloty. głód bo prócz miski z zupą wodnistą z brukwią i kawałkiem chleba (bochenek na dziesięciu) nie dostawaliśmy nic. Na Fridrichstrasse były automaty, gdzie można było dostać do dwóch małych tacek ze ślimakami w occie.

Naloty, tak się jakoś między nami utarło (bo nie mieliśmy znikąd ścisłych wiadomości), że to Anglicy przylatywali co wieczór regularnie (z przerwą na pierwszy dzień świąt). Zapalali flary a potem bombardowali gdzieś do 11 w nocy. Amerykanie natomiast przylatywali dywanem w dzień (tak się nam wydawało, że raczej w niedzielę) i bili od rana do wieczora. Nieraz bomba spadła na barak w obiekt no i były trupy. Nas pędzili do schronów- rowów, ale to tylko pogarszało sprawę, gdyż kobiety modliły się na głos, co pogłębiało tylko grozę sytuacji.

Prosiłiśmy Niemców o przeniesienie nas kilkoro mężczyzn do obozu męskiego, bo to nie sposób mieszkać na sztubie gdzie było 30-40 kobiet i nas 3 chłopaków dwudziestokilkuletnich. Nikt nie opisze tej atmosfery hysterii jaka tam panowała i wrzasku pawi jeżeli tylko ktoś się zbliżał do siatki. Trzeba zaznaczyć, że kobiety

pracowały przy myciu i sprzątaniu wagonów, gdzie starzy niemieccy majstrowie dopuszczali się różnych szykan jak kilkakrotnego ropowania sztyb.

Okazało się, że w jednym małym baraczkach mieszkało kilku ruskich i w ich narożnik trafiła bomba, a ni wylecieli do nieba.

Były i naloty w dzień. Wtedy schodziliśmy do tunelu U-Bahnu i czekaliśmy na odwołanie syreną alarmu lotniczego. Artyleria PLOT odstrzeliła raz koło u takiego bombowca i spadło to na tory na dworcu szczecińskim. Koło zaryło się pod jeden tor, a dwa sąsiednie wysadziło na jakieś dwa metry. Zresztą koło miało jakieś 2,2 - 2,5 a może i więcej średnicy. Niemcy najpierw z lary wyciągali kolorowe druty, wszystko szczegółowo zrysowywali, a następnie przystępowali do usuwania szkody.

Tutaj na Schliffenufer jakaś polska poetka napisała wiersz, który oddawał atmosferę tych nocnych nalotów „Późną zwykle godziną”.

Późną zwykle godziną, gdzieś około północy
 Pod okapem kłębiących czarnych i ciemnych chmur |
 Lecą oni z daleka, dufni w ogrom niemocy
 Które miasto wokoło dławi w febrze bez snu
 A na ich przywołanie głucho z ziemi dobiega
 Żałośliwy płaczący syren przeciągły chór
 Które wieszczą, że oni w nieskończonych szeregach
 Nadlatują, nadchodzi, że są właśnie już tu
 A na ich przywołanie, serpentyny świetliste
 Z reflektorów rzucone krótkie tysiące smug
 A na chmury kłębiące, czarne ciemne i mgliste
 Patrzy z drwiącym uśmiechem: człowiek, szatan i Bóg.

Podczas dnia w razie sygnału alarmu, że są już nad Magdeburgiem miałem razem z Adamem Wagą brać za uszy skrzynki z aktami i zanosić do schronu. Sami natomiast schodziliśmy do tunelu metra, gdyż nie mieliśmy prawa do przebywania w schronie.

Nasze prośby odniosły skutek i zostaliśmy 4 marca 1945 r. przeniesieni do obozu baraków Karow przy Pankgrafstrasse. No to był bardzo duży obóz, na

północnym-wschodzie, trochę jakby za miastem, bo nasze druty graniczyły z polami gdzie się wybiegało w razie nalotu. Potem dziury załatano tośmy leżeli na nasypie schronu i przyglądaliśmy się które dzielnice są bombardowane.

W obozie były baraki z internowanymi Włochami. Kilka baraków były nasze polskie, ale większość to były baraki dla Rosjan i ludów Wschodu. Niemniej i tutaj zdarzał się przypadek, że jakiś zagubiony w sytuacji samolot spuścił nam bombę na obóz.

Gdzieś chyba pod koniec marca, wychodząc po nalocie z tunelu metra zobaczyliśmy, że nasze skrzydło dworca, gdzie było nasze Bahnmeisterej, zostało zbombardowane. No to ulga - koniec z pracą. A tymczasem nieprawda. Podjechały samochody z workami, na których były napisy okno Nr 1, Nr 2, drzwi Nr 1, itd. a ans zapędzono do odgruzowania, a^{drzwi}..... po stolarce do worków.

Ja wtedy zgłosiłem, że rozbiłem okulary i nic nie widzę. Dostałem skierowanie na akademię medycyny gdzie profesor przypisał mi szkła do patrzenia i powiedział, że szkła do czytania nie może mi przypisać jako zagranicznemu robotnikowi.

Z tą receptą chodziłem po optykach, ale ~~szkieł~~..... nie było i była to świetna okazja do markierowania. Siedziałem w obozie i nie chodziłem do pracy tym bardziej, że się czuło ogólne rozprężenie. Ofensywa rosyjska znad Odry, Alianci dążą do Poczdamu, strażnicy chcieli by wiać na stronę zachodnią, a tu rozkazu nie ma i nie wiadomo co robić.

I tu mnie spotkało wyzwolenie w kwietniu 1945 roku.

SAMO WYZWOLENIE - POWRÓT DO KRAJU

Kwiecień 1945

W połowie kwietnia 1945 roku, tak na wschodzie jak i z zachodu ofensywy wojsk sprzymierzonych zbliżały się do stolicy faszystowskich Niemiec - Berlina. W obozie pracy podporządkowanej potrzebom niemieckich kolei Rzeszy, więźniowie wyczuwali przede wszystkim zmienny nastrój nadzorującej obóz kadry strażników. Będąc na północnej wschodnim osiedlu Berlina w Karowie przemysłiwali, jak by w bezpiecznej w czasie chwili przenieść się w okolice Poczdamu, który będzie zajęty przez wojska aliantów zachodnich. Zbyt wczesne opuszczenie swych posterunków mogłoby być poczytane przez władze stolicy jako dezercja i groziła utrata życia, ale z podobną obawą liczyli się w przypadku opóźnienia swego wyjazdu i wpadnięcie w ręce wojsk radzieckich.

W postaci pomruków - jakie przynosi nadchodząca burza - dochodziły do obozu odgłosy salw artylerii. Nadsluchując tych odgłosów staliśmy przy siatce ogrodzenia wypatrując z utęsknieniem tych, którzy mieli nas wyzwolić z sytuacji przymusowych robotników Rzeszy.

Reżim w obozie mimo wszystko jednak nie zebrał. Jeszcze w przeddzień wyzwolenia do kuchni niemieckich przywieziono furmankę marchwi, którą szybko wsypano do magazynu piwnicznego pod kuchnią. Marchew to było coś na miarę dla nas niewyobrażalna. Poza brukwią w cienkiej zupie przez osiem, dziewięć miesięcy nie widzieliśmy żadnej innej jarzyny; czasem od święta pojawiały się po kilka w obierkach ugotowanych ziemniaków. Nie mogłem się oprzeć by wieczorem nie podkraść się pod barak kuchenny i chlebakiem, aby nie zdobyć wgniecione w błoto odwilży jakieś odpadki marchwi. Nie widząc żadnych strażników, drapałem pazurami to błoto, w którym znajdowały się wbite przez pojazd i buciory rozładujących uprzednio więźniów kawałki może nawet .lady marchwi. Garnąłem to błoto do chlebaka, aby tylko szybko i jak najwięcej tych kawałków zgarnąć do torby, gdy naraz z narażeniem baraku wyszedł strażnik z psem na smyczy. Wiedziałem co to znaczy.

Zerwałem się z miejsca i biegiem jakim by się nie powstydział niejeden szybkobiegacz olimpijski dopadłem do najbliższego baraku. Przeleciałem korytarz wzdłuż całej długości baraku, wypadłem z niego i do drugiego, a potem jeszcze kilka następnych. To były baraki ruskich i wreszcie na końcu dostałem się do naszych polskich baraków i w ten sposób przelatując wśród mnóstwa jeńców musiał zgubić mój trop pies, który ugrzązał gdzieś w pierwszym baraku. Ja po przepłukaniu tego błota uzyskałem kilka śladów włókien marchwi, które chyba lepiej mi smakowały jak by to były ananasy. Niemcy jeszcze próbowali mnie znaleźć, ale ratował mnie zmierzch, który nie pozwalał mnie rozeznąć, gdyż byłem dla nich jedynie sylwetką bez rysów. Psy jeszcze przez jakiś czas obwąchiwały baraki Rosjan (obóz w Karowie był mieszany, przeważali ludzie ze Związku Radzieckiego, Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, naszych polskich baraków było dwa a może trzy, bodaj jeden barak mieścił Włochów).

Nazajutrz gdzieś około 10-11 godziny naraz pojawiła się tyraliera saperów na horyzoncie pół od strony na północ położonego osiedla Buch. Długimi tykami dziobali grunt przed sobą, szukając min, które podobno miały być położone na przedpolu obozu. Tak wypatrując na ich powolny marsz musieliśmy się zdobyć na ogromną cierpliwość, aby naszym zachowaniem nie wywołać nieodpowiedzialnych jakiś działań ze strony Niemców. Wydało się nam, że sama straż policyjno-essesmańska pierzchła, ale obozu jeszcze pilnowała uzbrojona kolejowa straż (Bahnschutz).

Liczyliśmy się, że walki ze zmiennym szczęściem mogą zmieniać linię frontu i możemy się stać po oswobodzeniu ponownie znaleźć w łapach niemieckich. Dlatego spakowawszy to co nieodzowne do chlebaka, czekaliśmy na chwile wkroczenia Armii Czerwonej do naszego obozu, aby od razu z niego się wyrwać jak najdalej. Idąc z tą swoją ostrożnością saperzy doszli do naszych drutów gdzieś po południu około 3-ciej a może trochę i później. Za nimi jakiś oddział piechoty. Na ogół więźniowie-jeńcy zdyscyplinowanie czekali na to wkroczenie, *licząc* na zorganizowane jakieś środki uwalniające. Ale nas kilku z Warszawy, nie czekaliśmy na jakiegokolwiek rozkazy, rozciąliśmy druty, przeszliśmy drogę okalającą ogrodzenie i hajda przez pola na wolność do Polski. Co prawda droga nie prowadziła wprost na wschód, a raczej

pomaszerowaliśmy na północ, na przeciw wchodzącej fali wojsk sowieckich. Tak nam dyktowała sytuacja jaka utworzyła się na naszym odcinku w Berlinie - Karowie.

Na zaczepiani przez nikogo w trójkę pomaszerowaliśmy jakąś polną drogą na Schönów. Gdzieś na drodze natknęliśmy się na zabite kulą karabinową prosię, jeszcze ciepłe. Była to gratka nie lada, to też wycięliśmy kawały mięsa na posiłek, którego my głodomory nie mogliśmy się doczekać. To też w ten dzień uszliśmy gdzieś około 10 km i w jakiejś wsi zatrzymaliśmy się na nocleg. Z tym było trudno, bo wieś była pełna wojska, sprzętu bojowego, głównie dział, ale gdzieś w tyle jakieś chałupy znalazła się komórka z wybitym oknem pod sufitem i tutaj założyliśmy pierwszy postój.

Przestrzegając się nawzajem przed skutkami tak gwałtownej zmiany diety, upiekliśmy kawałek świniny i po tak długim okresie postu (od czasu wybuchu Powstania Warszawskiego) wreszcie zjedliśmy po kawałku prosiaka. Nie chcieliśmy się specjalnie ujawniać, gdyż wojska frontowe mogły nas usunąć znowu na przedpole. Przespaliśmy tę noc trochę jak mysz pod miotłą.

Następnego dnia nie uszliśmy daleko. Dołączył się do nas blisko dwumetrowej wysokości Czech z kołem rowerowym. Postanowił bowiem zmontować po drodze rower i na nim poprzez nasze tereny zachodni wrócić na Morawy. Wioski po drodze były wyludnione, gdyż mieszkańcy w popłochu przed wojskiem sowieckim uciekły na zachód, pozostawiając całe mienie na łaskę boską. Czech wykazywał jakiś zmysł kuchenne-bytowy, a my zdaliśmy się w całości na jego doświadczenie.

Wojska posuwały się drogami bitymi, szosami poprzez miejscowości mające jakieś znaczenie dla działań wojennych. My natomiast obchodziliśmy te rejony poprzez drogi polne i wioski opuszczone przez ludność niemiecką, do których jeszcze nie dotarły wojska frontowe.

NATURA MA SWOJE PRAWA. Dziewięciomiesięczny post sprowadzający się do zupki z brukwi i 2-3 kromek chleba dziennie, a tu naraz pieczyście z prosięcia i rewolucja gotowa. Daleko nie doszliśmy tzn. Władek (z lokomotywni) i ja oraz Czech, który dołączył - na nasze szczęście - do nas. Skręciliśmy do jakiejś wioski i tam znaleźliśmy jakiś piętrowy pałacyk, zupełnie wyludniony, ale za to wyposażony luksusowo, co tylko człek może zamarzyć. Po dziewięciu miesiącach spania na ziemi

w polu a potem w barakach na sienniku wypchanym ścinkami makulatury z jakimś wałkiem pod głową i cienkim kocem, teraz z utęsknieniem przyglądaliśmy się szerokim łóżom wyłożonym grubymi materacami, czystą pościelą i puchatymi piernatami do których ~~...nawrotzie...~~ nie dopuszczały nas rozregulowane jelita, zmuszających nas do dłuższych pobytów w - co prawda luksusowych - ubikacjach.

Tymczasem Czech na parterze zaczął swoje kucharskie urzędowanie w przestronnej kuchni. Ugotował knedle z powidłami śliwkowymi, a także gdzieś w komórce znalazł kozę, którą zabił, wypatroszył, a mięso ugotował w wielkim garze a następnie przekręcił przez maszynkę i takie wiórki powsypywał do papierowych torebek, które jako rzekoma rezerwa znalazła się w naszych plecakach.

Po jakim takim wykurowaniu, na drugi dzień ruszyliśmy dalej w drogę do ojczyzny. W lesie na rozstaju dróg wybuchł spór, którejdy do kraju. Wtem zajeżdża ciężarówka rosyjska i wyładowuje na drogę tapczan, szafę, fotele, jakieś duże lustro w obudowie, szafek i... kolega z naszej sztuby z Karowa. Okazuje się, że nie ruszył się tak jak my z obozu, lecz był świadkiem przekazania komendantury niemieckiej oddziałowi rosyjskiemu, który po odebraniu akt i podpisaniu w kancelarii papierów, po prostu rozstrzelał wszystkich Niemców z komendy.

Natomiast nasz kolega rozpoczął na przedmieściu Berlina szaber mebli, umówił się z jakimś szoferem radzieckim transportu wojskowego i zwiózł to tutaj do lasu, „bo przecież tam w kraju nic nie ma”. Nie wiem jak się potoczyły dalsze losy tego kolegi i jego mebli, bo myśmy ruszyli w dalszą drogę która wyprowadziła nas na zerwany wiadukt nad autostradą okalającą stolicę Niemiec. Zeszliśmy z nasypu aby ominąć przeszkodę i nadzialiśmy się na żołnierza rosyjskiego stojącego w uzbrojeniu jak na warcie.

- Ku da? - zagadał do nas
- Do domu - odpowiedzieliśmy
- A zakurzyć macie? - zapytał wartownik

Oczywiście mieliśmy, wypaliliśmy z nim „fajkę pokoju” nawet obdarowaliśmy go machorką i zabieramy się do dalszej drogi, tym bardziej, że do nas w międzyczasie dołączyła grupa takich samych jak my, wrywających co sił w nogach z Niemiec.

Pamiętam, że znalazła się tam dość przystojna dziennikarka - Bułgarka z walizeczką, dość fertyczna dziewczyna.

- Ku da? - zatrzymał nas nasz wartownik

- Tak ci już mówiliśmy, że damoj.

- Nie lzia

- Cos ty zdurał, czemu nie lzia?

Ale on zagwizdał na gwizdku i z krzaków wyszedł patrol żołnierzy radzieckich, otoczył nas i poprowadził boczną drogą do niedaleko położonej leśniczówki. Dom murowany, piętrowy otoczony dookoła parkanem z dużą bramą wjazdową, a na dziedzińcu jakieś wiaty i szopy drewniane i tłum ludzi pozbieranych tak jak my z dróg dążących na wschód. Na ogół byli to Polacy - przymusowo zapędzeni na roboty do Niemiec. Więc my do nich:

- Długo tu jesteście? Ledwie się człowiek wyrwał z obozu, a tu znowu wpadł w jakiś kocioł

- A dwa, trzy a nawet i tydzień już tu jesteśmy

- I co? Tak siedzicie, jeść dają?

- A stądże. Rano tutaj wychodzi na ganek jeden z Ruskich zabiera do budynku około 20 ludzi, a potem jeden wyrzuca tutaj jakąś zabita krowę i radź sobie jak umiesz.

- A co z tymi co ich tam biorą.

- Nie wiemy, Oni już to do nas nie wracają.

Wytłumaczył mi taki zasiedziały tam rodak.

Obszedłem szopy, wiaty wszędzie ciasno, atmosfera ponura - Władek ... nie ma co. Nie będę tutaj czekał zmiłowania, idę na ganek spać. Rano niech mnie zabiorą. Tutaj nie wiadomo co nas jeszcze spotka, a co chwilę jeszcze patrole radzieckie doprowadzają wyłapywanych na drogach przymusowych robotników.

I tak zrobiliśmy. Na ławie na ganku się rozgościliśmy. Znowu na dechach spędziliśmy noc, ale za to rosyjski oficer nas ogarnął i wprowadził do wnętrza budynku. Na parterze był duży holl i z niego prowadziły drzwi do poszczególnych pokoi. To musiało być biuro tego leśnictwa. Tutaj nas rozdzielono. Każdego, żołnierz doprowadzał do poszczególnego pokoju. Ja musiałem pójść na piętro, gdzie podobnie

mieściły się z hollu pokoje i w takim jednym przesłuchiwał mnie oficer z NKWD. Biurko, dwa krzesła jedno dla niego, jedno dla mnie i nic więcej, może telefon, może dzwonek.

– Skąd, dokąd idę, skąd się znalazłem w Niemczech? Jakie mam dokumenty?

– Mówię, w czasie Powstania Warszawskiego - będąc na prawym brzegu Wisły między frontem Armii Czerwonej a Pragę, Niemcy nas wyaresztowali i wywieźli na roboty do Berlina, gdzie znalazłem się jako robotnik na niemieckiej kolei. A teraz wracam do kraju.

– Na pewno tam poznałem takich Niemców, którzy mieli w klapach odznaki partyjne, może nawet złote?

– Nikogo takiego nie znałem, i nie widziałem i w ogóle mój kontakt z Niemcami ograniczał się tylko do roboty.

Trzeba powiedzieć, że prowadził to śledztwo spokojnie, coś w rodzaju towarzyskiej rozmowy o rodzaju roboty, o obozach pracy, wyżywieniu i całym tam bycie. Wziął moją książeczkę tzw. Arbeitsbuch für die Ausländer. Przeglądał poszczególne strony i naraz na ostatniej stronie zasłonił ręką i mówi:

– A tu jest napisane „pole” tzn. polityczne

– Jak to polityczny. Gdybym był jako polityczny to bym był nie w obozie pracy ale karnym albo koncentracyjnym. To „pole” znaczy skrót Pole - Polak

– Nie! Nie! Na pewno polityczny.

Nigdy na tę stronę nie zaglądałem, bo wiedziałem, że są to ostatnie puste kartki na jakieś notatki, ale się uparłem.

– Tam Niemcy zapisywali skrótem narodowość robotnika, więc mnie jako Polakowi wpisali Pole.

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie, zadzwonił, wszedł wartownik, coś tam do niego zagadał i wyprowadzili mnie z pokoju po schodach przez dolny holl (wtedy z pokoju również wyszedł Władek) na zewnątrz od frontu budynku i zaprowadził do ziemianki, w jakiej pewnie przedtem przechowywano żywność, gdyż tam był chłód a i lód.

Potem sprawdziłem, że obaj blefowaliśmy. Na tej ostatniej stronie nie było żadnego zapisu. Po prostu ten oficer NKWD prowokował, a ja święcie mu wierząc, że taki zapis tam jest, na poczekaniu wymyśliłem to Pole - Polak.

W ziemiance przebywało kilka osób, jakaś kobieta, *świeczka paląca się*, stół przy takim małym okienku równym z ziemią i oni grający w karty.

- Długo tu siedzicie i za co
- A już kilka dni. Ale nie zwracaj głowy, bo my gramy.
- A skąd wy?
- A z Warszawy - ale nie przeszkadzaj.

I tyle się od nich dowiedziałem.

Siadłem na progu ziemianki - rozwiązałem plecak, aby sięgnąć po torebkę z koziną i okazuje się że to nie mój tornister, same koszule. To gospodarstwo Władka, same koszule. To mnie zdenerwowało. Mówię do wartownika, że wyskoczę do Władka po mój plecak - bom widział że go wyprowadzono przez bramę za parkan. Ale ten - nie lzia. Wtedy skoczyłem na nogi i poleciałem do bramy. A tam drugi wartownik któremu akurat za plecami wyskoczyłem, tak że mnie nie zobaczył a ja tymczasem widzę, że cała grupa z Władkiem siedzi pod parkanem, więc do niego:

- Ty masz mój plecak. Na to on ścisnął mnie za ramię
- Siadaj - cicho.

Więc przykucnąłem przy nim, a tymczasem ten pierwszy wartownik drze się do tego przy wrotach, że tu jeden wyskoczył, ten z kolei się obrócił i drze się, że tu nie ma takiego (bom się schował w grupie) i z ich darcia nic dla mnie nie wynikło.

Po jakieś dwóch godzinach gdy do grupy dołączyli następni przesłuchiwani, wyszedł do nas ten mój oficer z piętra. Wtedy na wszelki wypadek zdjąłem okulary, a założyłem furazerkę kolejarską na uszy i w ten sposób nie zostałem rozpoznany. On tymczasem do nas miał takie przemówienie.

- Nie wolno tak na własną rękę poruszać się tuż za frontowymi wojskami. Może być przeróżny element, dywersanci, szpiedzy i dlatego mamy zwartą grupą iść od komendy placu do następnej komendy według wyznaczonej marszruty i nie oddalać się na boki.

Wyznaczył taką miejscowość na kierunku naszej drogi i kanał nam zwartą grupą maszerować.

Tak mi się udało, drugi raz wyleźć z łap NKWD. Trzeba zaznaczyć, że w grupie naszej byli robotnicy, którzy w sąsiedztwie pracowali u chłopów niemieckich na roli, ale po takim przemówieniu i oni stracili ochotę odwiedzenia swych miejsc pracy.

Wieczorem dobiliśmy do tej miejscowości, którą nam wskazano. Na wzgórzu stała na tle nieba krowa z przetrąconą nogą i przy niej wartownik z karabinem. Ktoś tam poszedł do komendantury, aby się dowiedzieć o dalszą trasę, ale otrzymał wiadomość, aby nie zawracał głowy. Ktoś przyniósł wiadomość, że żołnierz zabił krowę i on kawał mięsa wyciął do pieczenia. Władek rozpałił w chacie w kuchni ogień i zaczął gotować gar wody, a ja tymczasem poleciałem po mięso. Wtedy ten żołdat do mnie

- Dostaniesz mięso, ale najpierw wypatrosz krowę.
- Ja tylko wytnę kawał z tyłka.
- Nie najpierw wypatrosz, a dopiero pozwolę wziąć mięso.
- Coś ty zwariował. Wtedy on zdjął broń z ramienia, wycelował do mnie.
- Patrosz. Ja potrzebuję wątrobę.

Co było robić. Zabrałem się do tej roboty. Trzeba wiedzieć, że krowa leżała na boku, co chwilę po obróceniu nóg, dostawałem nimi jakby były na sprężynie. Poza tym mój kozik to narzędzie niewspółmierne do tej roboty. Gdyby to na jakimś drzewie powiesić, ale nie ma drzewa. Męczyłem się pod tym karabinem gdzieś do północy. Wreszcie cały umazany przyszedłem z tym kawałkiem wołowiny, a Władek

- Gdzieś to przepadł.

Opowiedziałem co i jak a on mi mówi, że pewnie ten żołnierz nie chciał aby się mięso zepsuło i dlatego tak postąpił, a wcale mu na wątrobie nie zależało.

W dalszą drogę ruszyliśmy już całą karawaną. Ludzie skądś wyciągnęli wózki i taczki. Szły całe gromady ludzi. Jakiś starszy gdańszczanin z synem, grupa frontowców obojga płci, Ukrainki z tobołami na wózkach, no i nasz Czech z połową roweru na ramieniu. Wszystko to sunęło w kierunku Odry do nas, skąd wydawało się wszystkim będzie łatwo już dostać się do swej ojczyzny.

Wieczorem dobijaliśmy do jakiejś wsi i tam zajmowali całą zagrodę, bo łatwo nam było wspólnie gospodarzyć. Nie daleko na przejeździe kolejowym na posterunku przebywali żołnierze sowieccy, którzy złożyli nam wizytę.

– No my teraz sojusznicy. Macie co zakurzyć - i w takiej przyjaznej atmosferze spędzaliśmy wczesne godziny nocy.

My z Władkiem poszliśmy spać do stodoły, bo w izbach domku ciasno położyło się pokotem na podłodze całe towarzystwo, które z nami dążyło na wschód.

Gdzieś około drugiej w nocy przyszedł do nas do stodoły chłopak, abyśmy przyszli do izby, bo przybyli ruscy i mają jakąś ważną informację dla nas. Gdyśmy tam weszli to okazuje się, że wszystko leży na brzuchach, nad nimi stoją żołnierze rosyjscy z bronią wycelowaną do nich

– Kto ma świece? - wykrzykiwali ruscy.

Ktoś je znalazł i po zapaleniu zaczął się rabunek; przez okna wyrzucali nasze plecaki, a tam na podwórku ładowano je na samochód. W końcu zaczęli wyłapywać młode kobiety i dziewczęta. Wtedy krzyk, rozpacz, ale nic nie pomogło, ciągnęli je do komórki i tam gwałcili.

Długo potem po ich odjeździe, na podwórku pracowała studnia. Niewiasty tam się długo podmywały. Przyznam, że drugi raz nie chciałbym przeżywać takiej nocy.

– Władek dalej idziemy sami. Taki tłumek ściąga tylko kupę nieszczęścia.

Nasze plecaki uchowały się tylko dlatego, że myśmy je pozostawili w stodole.

Teraz powstał problem jak przebyć przez Odrę i jej odnogi, gdyż na przeprawach stały posterunki i wątpliwe było, aby pozwoliły przejść przez mosty.

Ale w czasie naszego marszu, Władek machnął ręką na przejeżdżający rosyjski samochód ciężarowy. Za tabakę zgodził się nas wziąć, pod plandekę, ale tylko na drugi brzeg, a dalej nie będzie nas wiozł, bo on jeździ do magazynów amunicji i wysadzi zaraz na początku lasu.

I tak nam się udało przebyć Odrę. Czuliśmy, że jedziemy poprzez długi most pontonowy, który uginał się na wodzie pod ciężarem samochodu. W lesie ciężarówka zjechała w prawo, a myśmy poszli prosto przed siebie. Okazało się po około 5 kilometrach natrafiliśmy na tory kolejowe i wieś w której był szpital naszych

żołnierzy z I Armii WP. Po drodze chodzili obandażowani nasi żołnierze z orzełkami na furażerkach. Teraz poczuliśmy się już w Polsce. Wytłumaczyli nam, że tory kolejowe oraz droga prowadzi do Kostrzyna do którego już mamy niedaleko.

Kostrzyn robił wrażenie miasta kompletnie zniszczonego. Właściwie w niebo sterczały tylko tu i ówdzie ceglane kominy wypalonych domów.

Tory kolejowe na stacji kostrzyńskiej zawałone lorami pociągów towarowych, które stąd miały wyjechać po dostawy wojskowe. Na niektórych lorach rozgościły się grupy powracających z Niemiec ludzi. Okazuje się, że pociągi te jadą do Piły, ale po drodze spędzają ludzi, w samej Pile podobnokomasują..... ludzi do robót w polu. Przecież to koniec kwietnia, a pole leżą odłogi przez działania wojenne.

Rozgościliśmy się z Władkiem na takiej lorze, przed nami jechała grupa Włochów, która jak to oni śpiewali na głosy swoje piosenki.

Niestety, drużyna kolejarska z wojskiem pospędzała ludzi na którymś przystanku. Nam się dlatego udało jechać dalej bośmy mieli na głowach furażerki kolejarskie, a oni sądzili, że należymy do grupy kolejarzy czynnych. Tak jechaliśmy całą noc; nad ranem zbudziło nas gwałtowne uderzenie wagonu o inne wagony. To na górcie rozrządowej rozmontowano nasz skład; przed oczami nam tylko mignęło z napisem Piła. Z dała widać było perony dworca zawałone tłumem ludzi, o dalszej jeździe nie było mowy. Wtem z trasy przed mostem cofnięto pociąg osobowy dla umożliwienia przepuszczenia transportu wojskowego. Pociąg ten stawał na sąsiednim torze, tak że nam pozostało tylko przesiąść się do niego - ot takie szczęśliwe zdarzenie losu. Za kilka godzin, tym pociągiem dojechaliśmy do Poznania. Obok stacji było stanowisko PCK, gdzieśmy się zgłosili, tutaj nas umyło, nakarmiono, zarejestrowano, każdy z nas dostał bodaj po 100 zł.

W Poznaniu rozstałem się z Władkiem. Namawiał mnie do jazdy do Warszawy, ale ja się uparłem jechać do Krakowa. Znalazłem taki skład pełny do Katowic, do którego doczepiono kilka wagonów z brukwią. W niej sobie wymościłem gniazdo i na tych twardych głowach rzepy dojechałem na Śląsk. Zbudziło mnie nawoływanie stojących na poboczu torów ludzi.

– Ciepce, no ciepce - wykrzykiwali dla otrzymania trochę tej brukwi.

W Katowicach na peronie spotkałem znajomego, który się dziwił, że ja żyję powiadomił mnie, że ojciec mój zginął w Powstaniu. W Krakowie tymczasem u kolegów zastałem list rodziców, że są we Włocławku, ojciec tam jest z oddziałem marynarzy i gdyby ktoś się z nas znalazł, to ma zjechać do stolicy Kujaw.

W Technikum Przemysłowym zapisałem się na Politechnikę. Na wiecu 1-szego Maja na rynku krakowskim trzymałem transparent „Młodzież robotniczo-chłopska żąda otwarcia Politechniki”. W kilka dni później byłem już w domu u rodziców we Włocławku.

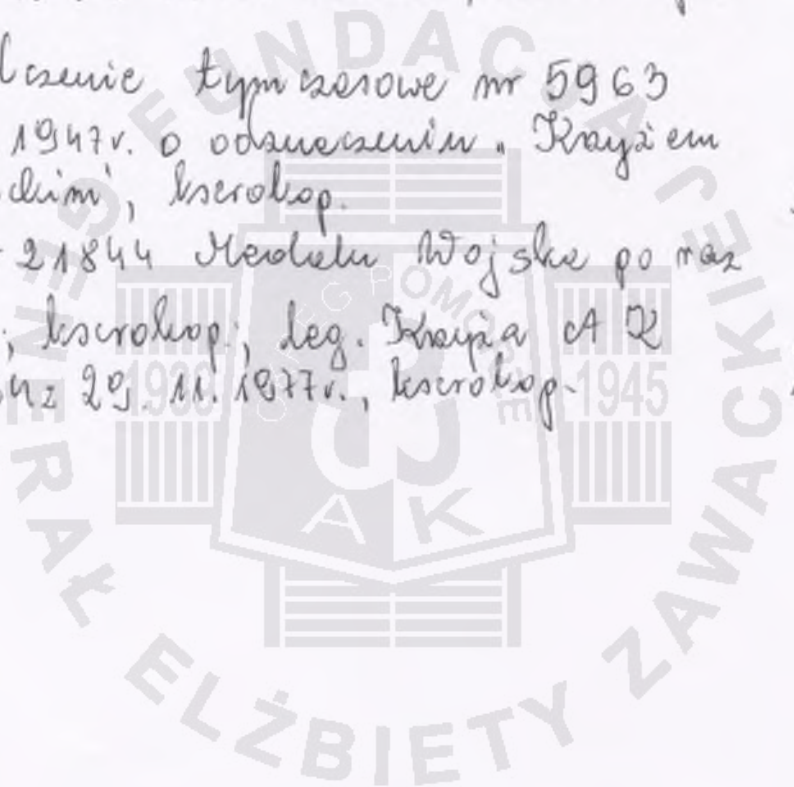
Tak się złożyło, że 3 września 1939 roku na moście na Wiśle w Toruniu rozstawałem się z Ojcem, a 8 maja 1945 roku na tej samej Wiśle ale na moście we Włocławku wraz z Ojcem usłyszałem syreny kończące działania wojenne.

W kilka dni później dostałem z Krakowa telegram z Krakowa „przybywaj, Politechnika otwarta w AGH”.

Zakończył się tym samym okres wojenny w moim życiu.

1/2. Dokumenty dotyczące relatora:
Sterkowicz Jerzy Szczepan

1. Kserokopia zaświadczenia wydane go w Krakowie 28.09.1945r. o działalności w AK, posiadającym stop. wojskowym podpisaną przez ppor. "Krabka"; arkusz ewid. k. 2 s. 1-2 cyjny-I. ewid. 404-2 1.10. 1945r. (rob. s. 2)
2. Zaświadczenie Komisji Likwidacyjnej b. AK Obszar Potulduwowy, Obwód Kraków I. ewid. 404 2 1.10. 1945r., kserokop. k. 1 s. 3
3. Zaświadczenie tymczasowe nr 5963 z 27.04.1947r. o odsuśnięciu z Krajem Partyzanckim, kserokop. k. 1 s. 4
4. Leg. nr 21844 Medalu Wojska po raz 1, 2, 3, 4, kserokop.; leg. Krajowa AK nr 17764 z 29.11.1977r., kserokop. 1945 k. 1 s. 5



Krakow 28.9.1945.

Z A S W I A D C Z E N I E.

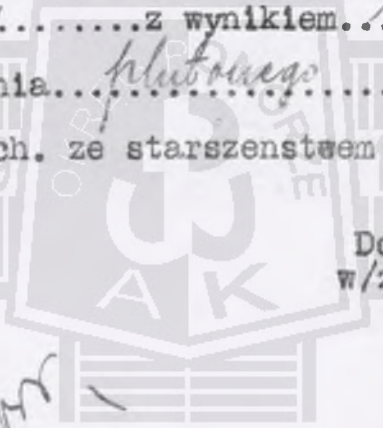
I/2/1

Zaswiadczam ze *plut. podchor. Les*.....Nazwisko.....*Sierkowiec Jerzy*
ostatnio pełniona funkcja.....*z-ca d-cy plutonu (odmiej 11-mj)*.....
ukończył w czasie od *6/01-42*.....do *30/01-43*.....ukończył.....*Szkola Podchorążych*
.....*Rezerwy Piechoty*.....z wynikiem.....*v. dobrym*
i awansował do stopnia.....*plutonowego*.....z prawem używania tytułu
Podchorąży Rez. Piech. ze starszeństwem od.....*1. XII. 1943*.....

plut. podchor. Les
z-ca d-cy plutonu
12 km
12000
30/01-43
Szkola Podchorążych
Rezerwy Piechoty
v. dobrym
plutonowego
1. XII. 1943

Dowódca Kompanji XII.
w/z Oficer Wyszukoleniowy Kompanji

K R A B ppor.



ŻŁBIETY Z

ARKUSZ EWIDENCYJNY

I/2/2

L. ewid. 404

1) Imię i nazwisko (prawdziwe)	Sierkowski Jerzy
2) Imię i nazwisko (używane)	
3) Pseudonim ostatni	"Vep"
4) Pseudonimy używane dawniej	
5) Przydział organizacyjny	I Odd. Kraków - zam. & cy. pmi.
6) Data i miejsce urodzenia	21.6.1921 - Modlin
7) Stopień wojskowy z przed 1939 r.	kapit. S.P.
8) Stopień nabyty w konspiracji	pprot.
9) Odznaczenia nabyte w konspiracji	Wzrost. I.
10) Wykształcenie cywilne i wojskowe	studium Górszczuki
11) Miejsce zamieszkania	Yokume 10 Lutego Nr. 29
12) Zawód i gdzie pracuje	inżynier - H. Górszczuki

dnia 1.10.45

podpis *[Signature]*

Komisja Likwidacyjna b. A. K.
Obszar Południowy
Okręg *Kraków*

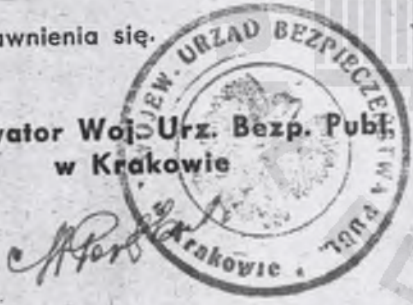
L. ewid. *404*
dnia ~~1. 10.~~ *1. 10.* ~~1945~~ *1945* r.

I/2/3

Zaświadczenie

Ob. *ppor. Sterkowicz Jerzy* członek b. Armii Krajowej zarejestrowany
dnia *1. 10. 45* w Komisji Likwidacyjnej Obszaru okręgu *Kraków* spełnił
obowiązków ujawnienia się.

Obserwator Woj. Urz. Bezp. Publ.
w Krakowie



Przewodniczący Komisji
Lenarczyk

I/2/4



W SKO POLSKIE

ZASWIADCZENIE TYMCZASOWE Nr

5963

Ob. *Sterkowiec Jerzy*
s. Stefana

(Stopień, nazwisko, imię, imię ojca i pseudonim)

Rozkazem Ministra Obrony Narodowej

Nr *14* z dnia *10. I* 194 *7* r.

Za zasługi bojowe w bohaterkiej walce zbrojnej w oddziałach partyzanckich z hitlerowskim najeźdźcą o Niepodległość, Wolność i Demokrację został odznaczony:

„KRZYŻEM PARTYZANCKIM”

M. p. *W-wa 27. IV* 194 *7* r.



Sekretarz Generalny Biura
Biura Wzrostu i
zażycia, stanowiącego stopień

Stanisław

I/2/5

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA Nr 21844

Stopień imię, nazwisko ppor.

STERKOWICZ JERZY SZCZESNY

ps. "SEP"

Oddział AK

Odznaczony został

po raz 1, 2, 3

Medalem Wojska

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu Głównego z dnia 1 lipca 1948 r.

Londyn dnia 15 sierpnia 1948 r.



[Handwritten signature]
A. Walega, pplk

Nazwisko STERKOWICZ

Imię Jerzy. Szczęsny.

Pseudonim "Sep"

Przydział Cenz. A.K.

Obw. Krakow.

Odznaczony został

KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ

ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku żołnierza Polskiej Podziemnej w latach 1939 — 1945.

Przewodniczący Komisji Krzyża

Podpis: *[Handwritten signature]*
M. Mandziara - "Słwy"

29. LISTOP. 1977

Londyn, dnia

NR 17762

II. Materiały uzupełniające relację: Sterkowice Jerzy
Skoczny

1. Banaś A.P. „Moje 4 lata w AK” [w:]

„Gdański Przekaz” nr 1/2000, kserokop.

k. 9 s. 1-9



Moje 4 lata w AK

II/1 ✓

Zaraz po przyjeździe do Krakowa w styczniu 1940 r. spotkałem Edka Mellera z gimnazjum Towarzystwa Szkoły Średniej z Gdyni, który mnie zaprzysiągł i w ten sposób wstąpiłem do ZWZ (późniejszej AK).

Z Edkiem w Gdyni byliśmy chyba od 3 klasy gimnazjalnej w harcerstwie, spędzaliśmy wakacje na obozach harcerskich. Zналиśmy się dobrze i mogliśmy na sobie polegać, obaj byliśmy synami oficerów zawodowych WP. Jego ojciec służył w piechocie, a mój w Marynarce Wojennej.

Z sympatii do morza on przyjął pseudonim „Mewa”, a ja, aby być w grupie „ptaszków”, „Sęp”.

Między Gdynią w 1939 r. a styczniem 1940 r. w Krakowie była pamiętna kampania wrześniowa 1939 r. Tak się złożyło, że chwila ogłoszenia mobilizacji zastała mnie w Toruniu, gdzie po zgłoszeniu się w referacie wojskowym w ratuszu otrzymałem przydział do batalionu PW organizowanego w koszarach 63 Pułku Piechoty. Z tym toruńskim batalionem PW odbyłem kampanię wrześniową od Torunia do Warszawy, poprzez walki nad Bzurą w rejonie Ruszek oraz w Puszczy Kampinoskiej z przebicciem się do stolicy 21 września. Ranny odłamkiem w nogę w Warszawie, pełniłem służbę wartowniczą w ramach kompanii PW przy magazynach na Solcu. Po kapitulacji Warszawy nastąpił podział wojsk odchodzących do niewoli. Ja zgłosiłem się do transportu na nasze wschodnie ziemie. Przesiedlałem w obozach jenieckich w Górze Kalwarii, Mińsku Mazowieckim, Terespolu i Brześciu. Z transportu na wschód w Pińsku uciekłem przez zieloną granicę pod Małkinią, wróciłem do Warszawy, a następnie do Krakowa. Jednym słowem znalazłem się w AK krakowskim już jako b. żołnierz kampanii wrześniowej.

„Gdański Przekaz” nr 1 z 2000
(zeszyty hist. Św. Zw. Zol. AK Stupsk -
Golanisk - Elbląg)

Pierwsze zadania w grupie „Mewa” sprowadzały się do uczestnictwa w płytkim wywiadzie ulicznym. Bądź co bądź Kraków jako stolica Guberni Generalnej nasycony był instytucjami okupanta. Należało spisywać tabliczki na budynkach zajętych przez urzędy niemieckie, ale także różnego rodzaju znaki, chorągiewki, numery rej. samochodów. Na pozór akcje nieskomplikowane, łatwe, ale o tyle niebezpieczne, że przy sobie miało się notatki z tych obserwacji, a ich sporządzanie nie mogło się rzucać w oczy Niemcom.

Pojawiła się prasa podziemna i w związku z tym włączyliśmy się w jej kolportaż. Rok 1940 przeszedł w przeróżnych akcjach związanych ze zbieraniem danych wywiadowczych.

Dzisiaj – gdy to opisuję – sprawa wydaje się prosta. Ale trzeba pamiętać, że Kraków wówczas był nasycony niemiecką, zorganizowaną w przeróżnych organizacjach wojskowych, paramilitarnych, policyjnych i partyjnych, wszystkie wrogo ustosunkowane do Polaków. Toteż te proste czynności wymagały dużo sprytu i – jak zawsze – szczęścia.

Mnie na początku zaangażowano jako kreślarza, abym sporządził tabele dystynkcji wojskowych. Były to czasy, gdy nie śniło się jeszcze o kserografii, a odbitki ozalidowe wykonywało się na papierze wystawianym na działanie słońca.

Ze względu na konspirację trudno mi ocenić, jakie były straty nasze w tych akcjach. W każdym razie aresztowania były, a nasiliły się w okresie kwiecień – maj 1941 r.

Pracując w biurze pomiarowym województwa krakowskiego (Vermessungswesen für Distrikt Krakau), miałem dość łatwy dostęp do map uprzednio opracowanych przez Polski Wojskowy Instytut Geograficzny (w roku 1938), a które władze niemieckie wydawały z dodatkowymi nadrukami jako „Sonderausgabe nur für den Dienstgebrauch” (specjalne wydanie tylko dla użytku służbowego). Ponadto w biurze tym aktualizowało się plany katastralne wsi i miast Galicji. Toteż w biurze tym ulokowałem na polecenie Komendy AK pchor. plut. „Cygana” (chyba z kawalerii), przesiedlonego z Bydgoszczy, z którym wspólnie wynosiliśmy dodatkowe dodruki tych map „Cygana” bardziej interesowały nasze sztabówki, mnie natomiast plany całych rejonów z wojskowymi odbitkami znajdującymi się na terenie Krakowa. Tak uzyskałem plany powiązania

dawnego obiektu wojskowego przy ul. Stradom przejściami z budynkami przy ul. J. Dietla oraz (co było dla mnie później ważne) układ zabudowy wzdłuż Plant pod Wawelem, wzdłuż ul. Straszewskiego, od Franciszkańskiej do obiektu seminarium duchownego na Podzamczu. W biurze tym pracował „Iskra” (Władysław Iskierski), który w ramach grupy wywiadowczej „Jarema” (Jan Kopeć) sporządzał lewe dokumenty wszelkiego rodzaju wg wzorów wystawianych przez władze niemieckie. Z tym właśnie „Iskrą” brałem udział w opracowaniu planów szczegółowych dotyczących obiektów o znaczeniu wojskowym (forty, koszary itp.)

Pod koniec roku 1941 wszedłem w skład zgrupowania I odcinka Śródmieścia („Cement”).

W związku z propagandą niemiecką, obnoszącą się ze zwycięstwami w Danii, Norwegii i na polach Francji, należało zaakcentować naszą obecność. W kinach wyświetlano kroniki z frontów, gdzie w takt V symfonii van Beethovena „Wszystkie koła muszą się toczyć ku zwycięstwu”. Stąd powstał pomysł bojkotu kin, a niezorientowaną ludność należało zdecydowanie z kin wypłaskać. Tym bardziej, że część zysków Niemcy przeznaczali na tzw. pomoc zimową (Winterhilfe) dla swych żołnierzy. Każda grupa miała pod opieką swoje kino, moja drużyna miała nadzór nad kinem „Uciecha” na ulicy Starowiśnej (w czasie PRL – Bohaterów Stalingradu), położonej między Plantami a tzw. Plantami Dietlowskimi.

Akcje przeprowadzano zwykle na porankach w niedziele. Otrzymywaliśmy koperty, w których były próbówki i jakiś proszek. W kinie siadaliśmy w różnych miejscach sali i w jakimś umówionym momencie filmu (np. pierwszy pocałunek) upuszczaliśmy kopertę, nadeptywaliśmy butem na próbówkę i kopaliśmy ją w przód, co przy pochyłości widowni dawało ten efekt, że gaz wydobywał się spod krzeseł zdezorientowanych widzów. Należało spokojnie odsiedzieć, aż personel kina wstrzyma wyświetlanie i otworzy wyjścia dla wypuszczenia zagazowanej publiczności.

W akcji tej sprawdzało się opanowanie wykonawcy akcji. Jedni spokojnie wyczekiwali do końca akcji, a inni po nadeptnięciu fiolki już się zrywali i wywoływali panikę, przy tej okazji sami się demaskując.

Zwykle po akcji zbiórka następowała na którejś ławce na Plantach Dietlowskich, przede wszystkim aby się policzyć i omówić błędy w akcji. A zagazowane kino zwykle nie mogło być w tym dniu czynne, gdyż zapach gazu był dość uporczywy i nie dawał się prędko wywietrzyć.

Oprócz tych akcji zaczynało się szkolenie w zakresie szkoły strzelca (bez strzelania). Młodzież licealna miejska szybko opanowywała początkową wiedzę wojskową, tym bardziej, że wielu przeszło przeszkolenie przysposobienia wojskowego w przedwojennych szkołach średnich i zawodowych.

Dodatkowo wciąga mnie pchor „Cygan” do prac kreślarskich w kancelarii Komendy Miasta na ul. Miodowej. Duże mieszkanie na parterze, naprzeciwko narożnika, gdzie mieści się synagoga. Pamiętam jakiś zjazd oficerów z Warszawy i ich wyjazd w rejon Podkarpacia w związku z koncentracją wojsk niemieckich i ćwiczenia pod Kolbuszową. Po ich odjeździe do Warszawy przygotowaliśmy plany utworzenia getta Żydów przez Niemców w Krakowie „Cygan” zakończył z nami pracę w piątek, a w sobotę był atak gestapo na jego mieszkanie, gdzie on palił akta i bronił się z kolegą. Został ranny i wzięty na Montelupich. Ja dowiedziałem się o tej akcji niemieckiej w poniedziałek, idąc do tego lokalu do pracy. Siedząca na ciemnych schodach kobieta wyjaśniła mi, co się tu stało z soboty na niedzielę. Drzwi ostrzelane i oklejone kartkami gestapo. Podobno Niemcy filmowali z synagogi wchodzących i wychodzących.

W kilka dni później dostaję rozkaz wraz z „Mewą” ewakuować część sprzętu z lokalu na Miodowej. Właściwie to on wie, co mamy ewakuować. Wieczorem, na godzinę przed godziną policyjną weszliśmy do lokalu. Zabraliśmy maszyny walizkowe do pisania i trochę jakichś dokumentów (rękopisy) i hajda z lokalu, wzdłuż Miodowej idziemy do Starowiśnej. Po przejściu którejś z przecznic słyszymy tupot, ktoś biegnie za nami i woła: Halt! Halt!

- Co robimy, Edek? - Odbezpiecz broń w kieszeni. Będziemy strzelali.

W tej chwili z lewej przebiegali koło mnie jacyś chłopcy, a za chwilę dwóch żandarmów niemieckich przeleciało koło nas z całym tupotem ich żandarmskich cholew. Po minięciu nas nogi ugięły mi się w kolanach i mówię do „Mewy”: - Wiesz, nie mogę iść, po prostu wrosłem w chodnik

- To nic. Taka reakcja.

Chłopcy gdzieś się rozmyli w źle oświetlonych uliczkach Kazimierza. A na przystanku tramwajowym na ul. Starowiśniej od strony rynku stało dwóch żandarmów, obok których czekaliśmy teraz na tramwaj jak gdyby nigdy nic.

Gdzieś na wiosnę 1942 roku odnalazł mnie w Krakowie Jurek Tomaszunas zamieszkały wówczas w Warszawie. Znałem go bardzo dobrze, był bowiem – syn gdańskiego lekarza – moim klasowym kolegą w liceum Tow. Szkoły Śred. Byliśmy także razem harcerzami w tej samej drużynie, a w 1939 r. odbyliśmy na Pomorzu przy granicy W.M. Gdańska ćwiczebny obóz szkoleniowy przysposobienia wojskowego. Wiedzieliśmy obaj, że jesteśmy zaangażowani w AK. Jego przyjazd do Krakowa łączył się też z tą organizacją, z tym, że nie wiedziałem, gdzie chodził i z kim się kontaktował, tak jak i ja nie informowałem go o swojej działalności.

Prosił, czy jest możliwe zorganizowanie punktu obserwacyjnego i zbieranie informacji o transportach kolejowych wojsk niemieckich na szlaku Kraków – Przemyśl. Przy drugiej jego bytności w jakieś półtora względnie dwa miesiące później już mu donosiłem, że taki punkt informacyjny utworzyłem w Zabierzowie i że o każdym transporcie wojskowym przechodzącym na wschód jak i na zachód w dzień i w nocy jesteśmy w stanie podawać mu informacje. Przyrzekł, że po kontakcie z Warszawą ustali sposoby przekazania tych informacji dla jego komórki. Spał u mnie. Przyjechał tylko na 2 dni do Krakowa, ale coś mu nie wychodziło i musiał swój pobyt przedłużyć. W poniedziałek miał wyjechać w południe, tymczasem wyznaczono mu spotkanie na wieczór gdzieś w parku krakowskim. Odprowadziłem go w te okolice nie bardzo zadowolony, bo było to miejsce blisko siedziby gestapo. Ale on liczył na krótkie spotkanie, szybki odjazd tramwajem na stację. Później dowiedziałem się, że został tam aresztowany i początkowo przewieziony do więzienia św. Michała, a po kilku dniach na Montelupich. I tak zginął naprawdę dzielny chłopak pchor. „Tomek” Jerzy Tomaszunas, którego ktoś musiał nadać za to – jak się po wojnie dowiedziałem – że pracował dla radiostacji grupy wywiadowczej „Michał”. Mnie się wtedy urwał jedyny kontakt z kolegami z Warszawy.

Potem była podchorążówka.

Bogusław Suchcic, „Arab” i ja znaleźliśmy się w XII kompanii Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty od 06.06.1942 r. do 30.06.1943 r. Program szkolenia obejmował taktykę walki na szczeblu kompanii

i batalionu (marsz ubezpieczeniowy, postój i zabezpieczenie placówki), taktykę walk ulicznych, teorię broń oraz zadania wywiadu wojskowego.

Równocześnie z kursem SPRP pełniliśmy funkcje w pododdziale (kompanii) odcinka I. Ja byłem d-cą drużyny, zastępcą i d-cą sekcji był „Jerzy” (Henryk Schoen). Drugą sekcję prowadził „Arab”, a trzecią – „Storczyk” (Stanisław Sterkowicz). Inną drużyną na tym samym pododdziale dowodził Bogusław Suchcic (którego ojciec – oficer zawodowy – siedział w niewoli), a on z bogatej biblioteki ojca użyczał nam fachowe książki wojskowe. Wykłady były po różnych mieszkaniach, ale ćwiczenia odbywaliśmy w terenie.

Pamiętam, że któregoś dnia na Wzgórzach Sowinca ćwiczyliśmy w terenie typowanie miejsca na placówkę oraz maskowanie itp. I to większą grupą. Na zakończenie siedzieliśmy na górze ponad drogą wiodącą na Wolę Justowską, którą właśnie wtedy szedł niemiecki żołnierz w pełnym oporządzeniu, z plecakiem, chlebakiem, hełmem, karabinem itp., więc my do instruktora: – Panie poruczniku, skoczymy i go rozbroimy.

– Nie wolno. Nie ma rozkazu, a my nie banda, lecz wojsko.

I żołnierz z duszą na ramieniu przedelfilował przed nami, a myśmy siedzieli i tylko ręce nas swędziały.

W kilka dni później zjawila mi się rzadka okazja. Nasz rówieśnik po pierwszym roku podchorążówki rezerwy pochodzący z Łodzi po powrocie z kampanii wrześniowej do domu i po przyłączeniu Łodzi do Reichu poczuł się Niemcem, więc go niedługo potem wcielili do wojska. Po przeszkoleniu we Francji został przeniesiony do Jugosławii. A tam partyzantka i mocno gorąco zrobiło się naszemu koledze. Postanowił w czasie urlopu zwiac i z taką propozycją zwrócił się do mnie jego bliski kolega. Otóż ustaliliśmy: niech odbędzie urlop u babki w Łodzi, a wracając wstąpi do nas do Krakowa, gdzie damy mu papiery i cywilne ubranie, ale mundur i karabin wraz z amunicją jest nasz. I tak zrobiliśmy. Z dworca kolejowego przeprowadziłem go do poczekalni dentysty i tam w mieszkaniu dr. Lobodzińskiego nastąpiła wymiana. Mundur przeszedł do schowka w świetliku, a karabin wraz z amunicją, zawinięty w stary dywan, w kościele Mariackim przekazałem oficerowi broni odcinka. Natomiast niedoszły bohater Wehrmachtu wstąpił do AK pod pseudonimem „Czarny” i znalazł się w oddziałach WSOP

II/4

Przed egzaminami na podchorążowce przyszedł rozkaz zdobycia broni w określonym sektorze i czasie. Ja wraz z Zygmuntem Kitowskim wyfasowałem Skalki Twardowskiego, do zespołu wzięłem na trzeciego starszego z braci Łobodzińskich z mojej drużyny.

Akcja stwarzała różne trudności, których przedtem nie braliśmy pod uwagę. Po prostu Niemcy nie chodzili w pojedynkę, a tylko takiego można było rozbroić. Raz widzimy z góry, że na polance poniżej siedzi Niemiec z dziewczyną. A więc pomysł – schodzimy z góry na jego wysokość. I jeden z prawa a pozostali z lewa wkraczamy na polankę. Po zrównaniu z Niemcem wyciągamy pistolety i zmuszamy go do oddania broni. Tak, ale nie wzięliśmy pod uwagę, że patrol zandarmerii obserwował tego Niemca znowu z dołu i niemal sekundę przed nami wkroczył na polankę, aby mu sprawdzić dokumenty. Z miną jak gdyby nigdy nic przeszliśmy nonszalancko przez polankę, ale sytuacja dla nas byłaby przegrana, gdybyśmy rozpoczęli akcję o minutę wcześniej. Prawdopodobnie nie napisałbym tych wspomnień.

Mijał czas. Akcja nie natrafiała na korzystną dla nas okazję. I raptem, nieomal w ostatnim dniu, w niedzielę na górnym płaskowyżu Skalek Twardowskiego po południu chłopcy grali w piłkę nożną, a tyłem do nich w narożu siedziała w słońcu parka – żołnierz niemiecki i dziewczyna. Niby kibice przyglądaliśmy się grze chłopców, a w momentach gdy piłka leciała w naszą stronę, cofaliśmy się jak najbardziej naturalnie, ale w stronę tej pary. Gdyśmy już byli blisko, wyciągnęliśmy rewolwery – uprzednio odbezpieczone – i otoczyliśmy zakochaną parę. Grający w piłkę chłopcy, gdy to zobaczyli, z miejsca prysnęli ze wzgórza. Żołnierz w pierwszej chwili nie zorientował się w sytuacji. W odwróconej czapce miał zwinięty pas wraz z rewolwerem w kaburze. W ten sposób zabezpieczał broń przed zapiaszczem.

Zygmunt Kitowski trzymał pod lufą Niemca, Łobodziński pilnował dziewczyny, a ja zabrałem pas i broń. Wtedy kazaliśmy się im rozebrać, aby gołi nie mogli za nami gonić. Niemiec miał na kołnierzu odznaki SS i mówił po czesku. Prosił, by mu zostawić buty, że one są jego prywatną własnością, ale my twardo – wszystko zdjąć. Jego i jej ubranie zwinęliśmy w tobolek i zrzuciliśmy ze skały na rosnące w połowie skały krzaki. W ten sposób nie mogli ich odzyskać ani od góry, ani z dołu. I w ten sposób myśmy stali się bezpieczni i spokojnie mogliśmy zejść ze

wzgórza i przepłynąć łodzią przez Wisłę na Salvador. Zygmunt Kitowski przekazał zdobytą broń oficerowi broni I odcinka.

W kilka dni później podczas odprawy na Plantach złożył nam gratulacje d-ca odcinka, ale miał pretensje, żeśmy Niemca nie zastrzelili, gdy zobaczyliśmy u niego odznaki SS. (Prawdopodobnie był to żołnierz z oddziałów dywizji „Totenkopf”, która z gmachu Muzeum Narodowego przy ul. Z. Krasńskiego na Małych Błoniach zrobiła swoje koszary.)

Potem były egzaminy na podchorążówce w mieszkaniach na ul. Sw. Tomasza u łączniczki pani Gruszeckiej i na ul. Długiej u Zygmunta Kitowskiego oraz awans na plutonowego podchorążego rez. piechoty ze starszeństwem od 1 XII 1943 r.

30 października 1943 r. w naszym mieszkaniu gestapo założyło kocioł, chcąc aresztować ojca (był d-cą Wojskowej Służby Ochrony Powstańca WSOP – AK) i chyba nas, dwóch synów. Byliśmy jednak przez rodaków zawiadomieni. Mama wraz z młodszym moim bratem i 5-letnią siostrą została przez rodzinę doc. Kucharskiego odwieziona do Siedlec do rodziny mamy. Ojciec jakiś czas ukrywał się na Kazimierzu, a po otrzymaniu kennkarty z AK na nazwisko Stefan Król oraz ja, który wtedy uzyskałem dokumenty na nazwisko Stanisław Warmiński, wyjechaliśmy do Warszawy. Tutaj kilka dni ukrywaliśmy się u bosmana z flotyli pińskiej mar. woj. w Legionowie, a następnie znaleźliśmy się obaj w Rembertowie. Tak się skończył okres krakowski, który mimo epizodów o silnych akcentach wspominam mile, gdyż tam znajdowałem się przede wszystkim wśród rówieśników.

Okres Rembertowa trwał krótko. W szkole powszechnej na nowym Rembertowie znalazłem się w oddziale kpt. Sosnowskiego (kier. tej szkoły), który pełnił funkcje intendenta – kwatermistrza grupy rembertowskiej. Przy nim zacząłem widzieć, że ten ruch oporu musi mieć wszelkiego rodzaju zaplecze zaopatrzeniowe. Grupa Rembertów obejmowała swoją działalnością Miłosną i Sulejówek. W sztabie Sosnowskiego nie widziałem jakiegoś podziału funkcji, a to z tego względu, że dowódca był "Zosią-samosią". Tłumaczę to w dużym stopniu takimi jego zdolnościami organizacyjnymi, że mógł to wszystko sam objąć, jak i w dużej mierze względami konspiracji. W skrzyniach miał spakowane białe-czerwone opaski na rękawy, na strychu szkoły natomiast masarze przygotowywali kielbasy, oficerom łączności wypłacał pieniądze na zakup lamp radiowych, zorganizował drużynę, która w mundurach

niemieckiej żandarmerii patrolowała tory kolejowe, aby zapobiec ich zniszczeniu w razie wycofania się frontu niemieckiego przed ofensywą Armii Czerwonej. Wiele, wiele czynności, o których nie wiedziałem przedtem, a które wychodziły na światło dzienne z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego. Przy kilku pełniłmy właściwie funkcje – nie we wszystkim zorientowanych – adiutantów. Nie odpowiadała mi ta rola, ale nie miałem innego kontaktu, a z drugiej strony hamował nasze zapędy, bojąc się dekonspiracji. Włączył mnie do tajnego nauczania. Z chwilą wybuchu powstania w Warszawie zostaliśmy przez niego zmobilizowani, a siedzibę swego oddziału ustanowił w filii szkoły, bliżej dworca kolejowego. Blisko tydzień sytuacja nasza była jak w pasie niczym. Wojsko niemieckie – frontowe oddziały znalazły się na wschodnich granicach miasteczka (artyleria na cmentarzu), a miasteczko było jak gdyby w jego zaopatrzeniowej dyspozycji. I naraz 6 czy 7 sierpnia 1944 r. wkroczył do naszego lokalu niemiecki patrol wojskowy, który nas aresztował i odstawił na teren fabryki „Pocisk”, gdzie skoncentrowano wszystkich mężczyzn z Rembertowa. Na drugi dzień około 5 rano wyprowadzono nas w kolumnie otoczonej przez wojsko z „Pocisku” do fortów zakroczymskich twierdzy Modlim. Stamtąd wywieziono nas wraz z ludnością prawobrzeżnej Warszawy na roboty do Rzeszy. I tak zakończył się mój udział w AK w kraju.

P. A. Banas

IV/ Korespondencja

1. - Sterkowicz Jerzy Szczęsny i Antoni Banasi

1. List Fundacji do Jerzego Sz. Sterkowicza z prośbą o nawiązanie kontaktu, Toruń, 18.09.2000, msp. k. 1 s. 1
2. List Jerzego Szczęsnego Sterkowicza zawierający odpowiedź i rysunek losów przed, w czasie i po II wojnie światowej, Wrocław, 22.09.2000, rkps. k. 1 s. 2-3
3. List Fundacji do Jerzego Sz. Sterkowicza, zawierający wyjaśnienia, Toruń, 03.10.2000, msp. k. 1 s. 4
4. List Antoniego Banasia do Fundacji wyjaśniający autorstwo artykułu „Moje 4-y lata w Ak”, Sopot, grudzień, 2000, msp. k. 1 s. 5
5. List Fundacji do Antoniego Banasia z odpowiedzią, Toruń, grudzień, 2000, msp. k. 1 s. 6
6. List Fundacji do Jerzego Sz. Sterkowicza z podziękowaniem za nadane materiały, Toruń, 21.12.2000, msp. k. 1 s. 7
7. List Fundacji do Jerzego Sz. Sterkowicza dot. wyjaśnienia związanego z autorstwem artykułu, Toruń, 25.01.2001, msp. k. 1 s. 8



FUNDACJA

ARCHIWUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUŃ • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL. (0-56) 65-22-186
http://www.um.torun.pl/~arch AK, e-mail: archAK@um.torun.pl
KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU, NR 10901506-4675-128-00-0

Toruń 2000-09-18

1.dz.2805/POM/2000

Pan
Jerzy Sz. Sterkowicz
ul. Kwaśnej
53-425 Wrocław

Szanowny Panie!

Przepraszam, że Pana niepokoję, ale bardzo nam zależy na nawiązaniu z Panem kontaktu.

Otóż jestem dokumentalistką Fundacji Archiwum Pomorskie Armii Krajowej w Toruniu, której założycielką jest pani prof. Elżbieta Zawacka. Fundacja nasza gromadzi relacje na temat walki konspiracyjnej na Pomorzu oraz udziału Pomorzan w walce z Niemcami poza Pomorzem. W czasopiśmie pt. "Gdański Przekaz" nr 1 z bieżącego roku przeczytałam wspomnienie z czasów okupacji podpisane nazwiskiem "Banaś". Dzięki przychylności i pomocy Pana Edwarda Möllera ps. "Mewa", o którym pisze Pan w swoim artykule, dowiedziałam się, kto jest jego autorem i stąd mój list do Pana oraz prośba w imieniu Pani prof. Elżbiety Zawackiej o spisanie relacji o walce w konspiracji. Przychylnie ustosunkowanie się do naszej prośby ma dla nas ogromne znaczenie. W załączeniu przesyłam materiały o działalności naszej Fundacji, a także schemat relacji, który być może ułatwi Panu jej spisanie. Będziemy szczerze zobowiązani za odpowiedź.

Łączę serdeczne pozdrowienia oraz wyrazy szacunku.

Z poważaniem

Elka Skeraka
.....
Ella Skeraka
dokumentalistka Fundacji
Archiwum Pomorskie AK
w Toruniu

Fragment listu
w piśmie - Edward Meller
pasek Pom.
Ab.

Pani
Ella Skerska
Fund. Arch. Pomorskie AK w Toruniu

Dziękuję za rozproszenie do współpracy z FAP- AK - Toruń
 ale nie bardzo wiem co Pani przeczytała w „Gdańskim
Przekrobie” nr. 1. Pisz Pani o jakiś wspomnieniach
 podpisane nazwiskiem „Bonos”. Znam Antoniego Bonosia
 (jest moim kuzynym - maś obiadkiem - jego jen Sterkowicz
 i mój Józef Sterkowicz byli młodziami braćmi synami
 Jakuba Sterkowicza) zam. w Sapozie ul. Padbrowskiego 11. I może
 Pani pisać że ten artykuł jest mój i o nim rozmawiałem
 Edwarda Mellera, jakto mój artykuł? Same Pani
 pisać że podpisany jest „Bonos” Wiek nie wiem co za treść
 jest zawarta w „Gdańskim Przekrobie” Nr. 1 Bonosia? czy moje? Ale
 jeżeli jest podpisane „Bonos” no to może że jest to artykuł
 A. Bonosia.

Sp. Zamek A. Bonosia była bardzo dobra koleżanka i sony Edka Mellera
 a sam Edka Meller jest moim kolegą z gimnazjum i liceum
 Tor. Szkol. Śred. w Gdyni, a w Krakowie był szefem Wydziału AK
 a ja byłem w jego grupie

Skie mam ochotę przedstawić moich wspomnień z kampanii Wacziomaj
 1939 r. (litera napisaniem w Bet. PK w Toruniu - stał mam duży
 sentyment do tego miasta) i dalszych kolei losów w czasie wojny
 39-45, bo palejnowem, że te materiały są udostępnione pms. Antoniego
 Bonosia, który się do mnie zwrócił o zgask ich wyobrażenie. Ab.

nie permitem żadnych prawnych funkcji - wiec uwazalem ze
nie ma sie, czym chwalic.

Teraz nie wiem co zostalo ogloszone - e obawiam
sie pomyslu po wz drugi materialow na Peci adres
bardzo prosze o wyjasnienie mi z czym sie Peci na prawde
spotkales (moze Ksaw)

2 powiazaniem Stechowicz

Jeny Szersmy Stechowicz
funkcyjny kierownik orli ZMR
w Ak. ps. "Sep" plut podchor.
zmierzajacy do stopnia ppow. rez. przy Ak
po ucieczce z Krakowa przed Gestapo
na umiarkowanym stanowisku "Stenistaw
Werminski" rezydent w Rumburku
przy wybraniu przez Ak wywieziony
do pracy w Berlinie na kolei niemieckiej
odwazny. Konyem Walczym, Konyem Partyzant
Konyem Ak i innymi osobami pamiotkowymi
wojennymi. Po powrocie do kraju studiowalem
na Polite. Slaski w Gliwicach i uzyskalem
dypl. mgr. inz. Inżyniera, do emerytury
pracowalem w gornictwie węgelnym (komunizm
i brumetym) Przejazd do Gólków
(ur. 21. 06. 1921. w Modlinie - syn, oficer
mar. wojennej.)

PS. W Toraniu zorganizowalem spdz. szkodliwy bod. Ps-Toruni

i jako krakowian tego batalionu pozbawionym wyjasnieniem

Wstępnie i przykroscem je do Berl. Osobliwosc ze Lwowa.

Spotkalem sie jak to w Polce z innymi osobami przy

komunistycznym - wkrad sie wstępnie J. Giesbrecht z Pory

i pan Mochel ze sluzby naogl. szereguje sie od uszchwieca

aby mi wyroczym u siebie Stechowicz, ktore moze byc bardzo dobre

miu niebranie (rozawansowal chmura sterc) Jestem przekonany ze...

Wrocisz 22. 09. 2000.

IV/1/4



FUNDACJA ARCHIWUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUN • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL. (0-56) 65-22-186
http://www.um.torun.pl/~archAK, e-mail: archAK@um.torun.pl
KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU, NR 10901506-4675-128-00-0

Toruń 2000-10-03

L.dz. 2860 / A Pom / 2000

Pan
mgr inż. Jerzy Sz. Sterkowiec
ul. Kwaśna
53-425 Wrocław

Szanowny Panie!

Dziękuję za odpowiedź i jednocześnie przepraszam, że swoim listem wprowadziłam trochę zamętu, ale zapewniam, że nie zamierzałam Pana niepokoić. Zgadza się z Panem, że jeżeli artykuł jest podpisany nazwiskiem, to nie powinno ulegać wątpliwości, kto jest jego autorem. Nieporozumienie jakie zaistniało, spowodowane było informacją, przypisującą Panu autorstwo, bowiem uznano, że "Banaś" to Pana nazwisko konspiracyjne. Jeszcze raz serdecznie przepraszam i w załączeniu przesyłam kserokopię artykułu i informację o działalności naszej Fundacji. W swoim liście podaje Pan adres p. Antoniego Banasia. Sądzę, iż p. Banaś nie obrazi się, gdy napiszę do Niego list z prośbą o nawiązanie kontaktu.

Łączę pozdrowienia i wyrazy szacunku,

Z poważaniem *Eskerska*

mgr Ella Skerska
dokumentalistka Fundacji Archiwum
Pomorskie AK w Toruniu

IV/1/5

Antoni Banaś
81-831 Sopot
ul. Raderewskiego 11

Sopot grudzień 2000 r.

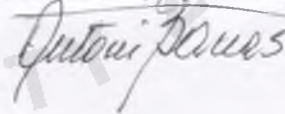
Wpłynęło dnia 8. XII.
Ldz. 3727 POM 2000
P.U.

Szanowna Pani,

W odpowiedzi na Pani list z dnia 2000-10-03 l.dz. 2880/pom/2000 informuję ze zaszło nieporozumienie. Autorem tego artykułu p. z " Moje 4-y lata w AK" jest podany przez Panią p. Jerzy Szczęsny Sterkowicz, zamieszkały pod adresem 53-425- wrocław-ul. Kwaśna 1 m.4. moja rola polegała jedynie na zainteresowaniu oddziału w Gońsku i uogęczeniu pamiętników. W związku tym pozwalam sobie przesłać załączone dokumenty na adres p. Sterkowicza.

Łączę pozdrowienia

Antoni Banaś



IV/1/6



FUNDACJA ARCHIWUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUN • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL. (0-56) 65-22-186
http://www.um.torun.pl/~archAK, e-mail: archAK@um.torun.pl
KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU, NR 10901506-4675-128-00-0

Torun 2000

1.dz.3855/POM/2000

odp. nr 3727 z 8.XII

Pan
Antoni Banas
ul. Paderewskiego 11
81-831 Sopot

Szanowny Panie!

Dziękuję za list i zawarte w nim wyjasnienie dotyczące opublikowanego w "Gdańskim Przekazie" artykułu. Sądzę, że nie byłoby nieporozumienia i nie niepożądabym, gdyby do wspomnianego artykułu dołączone było źródło, tak jak to stosowane jest w wielu publikacjach ukazujących się w czasopiśmie.

Z uwagą śledzę czasopisma, a szczególnie "Gdański Przekaz", ponieważ szukam kombatantów. Z treści artykułu wynikało, że Pan nim jest i dlatego napisałam do Pana list z prośbą o relację.

Obecnie nawiązałam kontakt z Panem Jerzym Sz.Sterkowiczem, który był tak uprzejmy i przesłał Fundacji swoje wspomnienia. Teraz już wszystko wiem.

Z listu wynika, że chyba interesuje Pana II wojna i dlatego pozwalam sobie dołączyć "Biuletyn" wydawany przez naszą Fundację.

Łączę pozdrowienia i wyrazy szacunku z okazji zbliżających się Świąt i Nowego Roku dołączam do Pana wszelkiej pomysłności.

Z poważaniem ... *E. Skarżka*

mgr Elia Skarżka
dokumentalistka Fundacji
Archiwum Pomorskie AK w Toruniu



FUNDACJA

ARCHIWUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUŃ • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL. (0-56) 65-22-186
<http://www.um.torun.pl/~archAK>, e-mail: archAK@um.torun.pl
KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU, NR 10901506-4675-128-00-0

Toruń 2000-12-21

odp. na l.d. 2867 z 3.X

1.dz.3857/POM/2000

Pan
Jerzy Sz. Sterkowski
ul. Kwasna
53-425 Wrocław

Szanowny Panie!

Pragnę Pana przeprosić za dość długie milczenie spowodowane dość licznymi obowiązkami.

Przede wszystkim dziękuję za przesłane dokumenty i wspomnienia dotyczące Pana działalności w czasie okupacji. Zostały one złożone w Archiwum Fundacji w teczce opatrzonej Pana nazwiskiem.

Niedawno otrzymałam list od Pana Antoniego Banaśia z Sopotu, w którym wyjaśnia powód opublikowania Pana pamiętników. Tak więc sprawa się wyjaśniła, a miała tę dobrą stronę, że mogłam z Panem nawiązać kontakt.

We fragmencie pamiętników zatytuowanym "Okupacja niemiecka-Armia Krajowa" opisującym konspirację w Krakowie, wspomina Pan Jana Kopec ps. "Jarema", który też pochodził z Pomorza. Czy mógłby Pan napisać o nim coś więcej? Dla nas cenna jest każda informacja.

Kończąc, do przeprosin dołączam wyrazy szacunku, a z okazji Świąt oraz zbliżającego się Nowego Roku życzenia wszelkiej pomyślności.

Pozwalam sobie do listu dołączyć także "Biuletyn" wydawany przez naszą Fundację.

Z poważaniem *E. Skerska*
mgr Ella Skerska
dokumentalistka Fundacji
Archiwum AK w Toruniu

IV/1/8



FUNDACJA ARCHIWUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUN • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL. (0-56) 65-22-186
http://www.um.torun.pl/~arch AK, e-mail: archAK@um.torun.pl
KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU, NR 10901506-4675-128-00-0

Toruń 2001-01-25

l.dz.0142/POM/2001

Sz. Pan

Jerzy Szczęsny Sterkowicz
ul. Kwaśna
53-425 Wrocław

Szanowny Panie!

Bardzo serdecznie dziękuję za kartę z życzeniami noworocznymi. Przykro mi, że z artykułem opublikowanym przez p. Antoniego Banasia jest tyle nieporozumień. Spieszę donieść, że sprostowanie, a więc podanie nazwiska autora, powinno ukazać się w "Gdańskim Przekazie". "Biuletyn" wydaje Fundacja Archiwum Pomorskie Armii Krajowej w Toruniu, która nie ma nic wspólnego z "Gdańskim Przekazem" i dlatego sprostowanie nie mogło się w nim ukazać. Jeśli mogę wyrazić swoją opinię, to właśnie p. Antoni Banaś powinien sprostowanie wydrukować w "Gdańskim Przekazie", bo tam została podana nieprawdziwa informacja a czytelnicy, do których ja także należę, w błąd.

Sądzę, że po tym wyjaśnieniu nie będzie Pan czuł do nas żalu, bo jesteśmy niewinni.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Z poważaniem
Ella Skerska
dokumentalistka Fundacji Archiwum

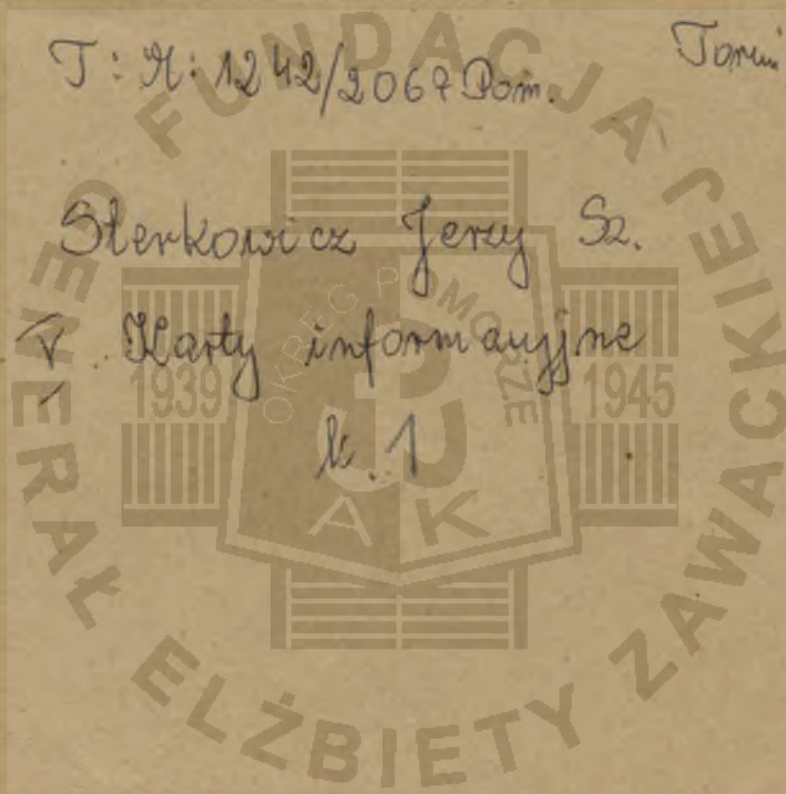
T: H: 1242/2067 Dom.

Tomii

Stenkowicz Jerzy Sz.

Warty informacyjne

l. 1

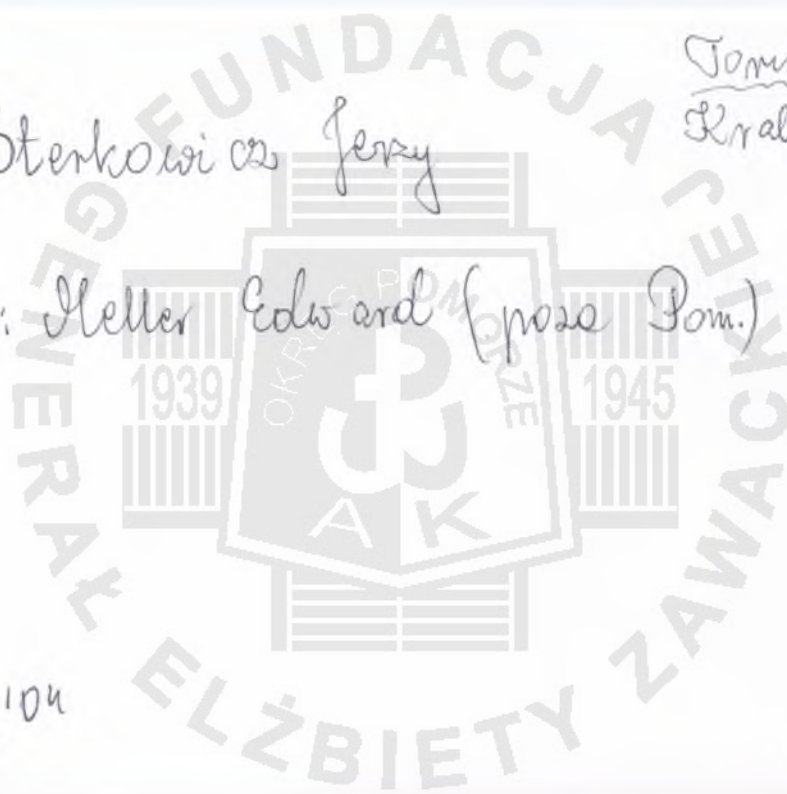


Sterkowski as Jerry

Tomu 1
Kraśno

zob: Heller Edw and (pouse Pom.)

2/8. IV 104



Sterkowicz Jerzy Szwed, smy

